Leigh Brackett, Ray Bradbury

Lorelei z Czerwonej Mgły

(Lorelei of the Red Mist)

Planet Stories, Summer 1946
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Gliniarze Kompanii byli dobrzy. Byli bardzo dobrzy. Hugh Starke zaczynał już myśleć, że tym razem może nie udać mu się stąd uciec.

Jego niewielkie, chude ciało nachylało się nad pulpitem sterującym, usiłując wydusić ostatnią uncję energii z Kallmana, którym leciał. Gorące nocne niebo Wenus przemykało za portami widokowymi do tyłu, przelatując poszarpanymi zasłonami mgieł w kolorze indygo. Starke nie był już pewien, gdzie się znajdował. Wenus była pograniczną planetą, i ciągle większość jej terytorium stanowiła jedno wielkie nieznane X, chyba że dla Wenusjan, ale ci nie dawali nikomu żadnych map. Wiedział, że zapuścił się niebezpiecznie blisko Gór White Cloud. Stanowiły one kręgosłup planety, wznoszący się wysoko w stratosferę, magnetyczną pułapkę, i Bóg wie co, znajdowało się poza nimi. Może nawet i Bóg nie był tego tak do końca pewien.

Ale wyglądało na to, że albo przeleci nad górami, albo koniec. Śmierć pod kulami Specjalnej Policji Terro-Venus Mines, Incorporated, albo powrót do celi więziennej na Lunie, do końca życia, jako niepoprawny recydywista.

Starke postanowił, że poleci nad górami.

Niezależnie od tego, jak to się skończy, to był największy skok samotnego wilka w historii. Statek T-V Mines z wypłatami, przewożący blisko milion kredytów. Pogłaskał metalową kasetę pancerną między nogami i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Upłynie dużo czasu, zanim ktokolwiek temu dorówna.

Jego wskaźniki masy zaczęły się poruszać. Niewyraźny, ciemnopurpurowy cień z przodu na niebie, Góry White Cloud, wyrosły przed nim jak ogromna ściana. Starke sprawdził pozycje ścigających go statków. Nie było sposobu, żeby się przez nie przebić. Powiedział sobie stanowczo:

— No dobra, niech was diabli! — i skierował Kallmana do góry, w zamglone, ciężkie od chmur, niebieskie niebo.

Nie miał żadnych wyraźnych wspomnień tego co się działo później. Zwariowane nieprzewidywalne zmiany pola magnetycznego, zawsze stanowiące zagrożenie na Wenus, uczyniły jego przyrządy bezużytecznymi. Leciał opierając się na czystym szczęśliwym trafie i intuicji i przedostał się przez góry, a ludzie z T-V – nie. Był wolny, z milionem kredytów w garści.

Daleko w dole, w dziewiczej ciemności, dostrzegł ponurą purpurową smugę na obliczu nocy, tak jakby ktoś przejechał po nim okrwawionym kciukiem. Kallman zanurkował w tym kierunku. Pulpit sterowniczy zamigotał niebieskim płomieniem, wyzwalacze silników wybuchły, a potem słychać było już tylko wycie powietrza o kadłub spadającej maszyny.

Hugh Starke siedział bez ruchu i czekał…

Wiedział, nawet nie otwierając oczu, że umiera. Nie czuł bólu, nie czuł niczego, ale i tak to wiedział. Część jego ja odcięła się i uwolniła. Ciągle tu był, ale nie był już przywiązany do ciała.

Uniósł powieki. W górze zobaczył sufit. Wisiał gdzieś na znacznej wysokości, ponad nim. Czarny kamień z przydymionymi czerwonymi i bursztynowymi żyłami. Nigdy wcześniej nie widział go na oczy.

Jego głowa była trochę przechylona na prawą stronę. Powędrował spojrzeniem niżej, w tamtym kierunku. Zobaczył jakieś ciemne gobeliny, więcej czarnego kamienia i trzy wysokie arkady wychodzące na balkon. Poza balkonem widać było niebo, przesłonięte kłębami czerwonej mgły. Poniżej mgły, od mrocznej linii nabrzeżnych klifów, rozciągał się ocean. To nie była woda, a na powierzchni nie było widać żadnych fal, ale nie potrafił znaleźć dla tego innej nazwy. Gdzieś, w swych głębinach, ocean płonął, wydychając w górę czerwoną mgłę. Jak gniewne wybuchy ognia, wzbijała się ona ponad płaską powierzchnią, unosząc się słupami do góry, rozsiewając kręgi iskier, przypominające zmarszczki na wodzie rozchodzące się po wrzuconym kamieniu.

Zamknął oczy, zmarszczył brwi i niecierpliwie poruszył głową. Na skórze poczuł odciskające się nierówności futra. Przez szczeliny między powiekami dostrzegł, że leży na wysokim łożu, nakrytym stosem jedwabi i miękko wyprawionych skór. Jego ciało było przykryte. Raczej się cieszył, że nie może go zobaczyć. W każdym razie, nie miało to większego znaczenia, jako że i tak nie miał go już nigdy więcej używać, no i przede wszystkim nie było to znów aż tak wspaniałe ciało. Ale przyzwyczaił się do niego i nie chciał go oglądać teraz, kiedy było w takim stanie, w jakim wiedział, że musiało być.

Popatrzył wzdłuż siebie, ponad łóżkiem, i zobaczył kobietę.

Siedziała, obserwując go z masywnego, rzeźbionego krzesła, okrytego dla wygody pojedynczym, wielkim, białym futrem, wyglądającym jak śnieżna zaspa. Uśmiechnęła się i pozwoliła, aby jej się przyjrzał. Pod szczęką zaczął mu bić puls, bardzo delikatnie.

Była wysoka, elegancka i wyginała się wyzywająco. Miała na sobie w coś w rodzaju krótkiej tuniki z bladoszarego, cienkiego jak pajęczyna jedwabiu, dociśniętej do ciała przez usiany klejnotami pas, będący również pięknym dziełem sztuki zdobniczej. Twarz miała wąską, o ładnych rysach, tajemniczą, lekko rozbawioną. Jej wargi, oczy, oraz spływające jedwabiste włosy, cechował ten sam blady zimny kolor akwamarynu.

Skórę miała białą, bez najmniejszego śladu różowości. Ramiona, ręce, długie i płaskie krzywizny ud, bladozielone czubeczki jej piersi były obsypane drobniutkim pyłem, błyszczącym jak sproszkowany diament. Na tyle śnieżnobiałego futra iskrzyła się delikatnie, jak istota z bajki, stworzenie z piany, księżycowego blasku i kryształowo czystej płytkiej wody. Nie spuszczała go z oczu, nie były one ludzkie, ale wiedział, że musiały będą dla niego zrobić wiele rzeczy, jeśli miał czuć cokolwiek poniżej szyi.

Próbował coś powiedzieć. Nie miał siły poruszyć językiem. Kobieta nachyliła się do przodu, i tak jakby jej ruch stanowił sygnał, czterech

mężczyzn wyrosło z wyściełanych gobelinami cieni koło ścian. Podobni byli do niej. Ich oczy były blade i obce, tak samo jak jej.

Powiedziała w płynnym Wysokim Wenusjańskim:

— W tym ciele, umierasz. Ale nie umrzesz. Teraz zaśniesz i obudzisz się w obcym ciele w obcym miejscu. Nie bój się. Mój umysł będzie z twoim, pokieruję tobą, nie bój się. Nie mogę teraz tego wyjaśnić, nie ma na to czasu, ale nie bój się.

Wygiął swe cienkie wargi, odsłaniając zęby, co mogło ujść za uśmiech. Jeśli nawet, był on wilczy i zgorzkniały, jak cała reszta jego twarzy.

Oczy kobiety zaczęły wlewać mu do głowy spokój. Przypominały dwie niewielkie rzeki, płynące przez kanał jego własnych oczu, rozlewające się srebrzysto-zielonym spokojem po udręczonej powierzchni jego mózgu. Mózg zaczął mu się odprężać. Leżał, unosząc się na wodzie, a dwa bliźniacze strumienie stały się jednym, rwącym nurtem, zaś jego umysł, czy ego, coś co stanowiło jego najbardziej wewnętrzne jestestwo, zniknęło pośród topieli.

Odzyskanie świadomości, zajęło mu dużo, bardzo dużo czasu. Czuł się, jakby został roztrzaskany na kawałki, które leżały porozrzucane po całym jego wnętrzu. Poza tym, miał instynktowne przeczucie, że w chwili gdy się obudzi, będzie żałował, że to zrobił. Nie przejmował się tym, składając się z powrotem w jedną całość.

Przypomniał sobie swoje imię i nazwisko, Hugh Starke. Przypomniał sobie górniczą asteroidę, na której się urodził. Przypomniał sobie Lunę, celę więzienną, do której kiedyś go wtrącono, niemal umierającego. Nie było wiele do wyboru między jego wspomnieniami. Przypomniał sobie jak jego twarz ozdabiała wszystkie tablice informacyjne między Merkurym a Pasem. Przypomniał sobie jak słyszał o swoich wyczynach we wszystkich audycjach telewizyjnych, rzeczy którymi można było dzieci straszyć, i pomyślał, jak to było, kiedy popełniał swoją pierwszą zbrodnię – mały, chudy osiemnastoletni dzieciak walący kluczem nastawnym w głowę dorosłego mężczyznę, próbującego ukraść mu jedzenie.

Potem, reszta powróciła już bardzo szybko. Praca dla T-V Mines, ucieczka, która się nie udała. Góry White Cloud. Wypadek.

Kobieta.

To wywołało reakcję. Mózg szarpnął mu się rozdzierająco. Przebiegło przez niego światło, poczucie nagiej rzeczywistości. Leżał zupełnie nieruchomo, ciągle z zamkniętymi oczyma, a jego umysł uczepił się obrazu lśniącej kobiety, z morzem zielonych włosów, i jej głosu mówiącego: „Nie umrzesz, obudzisz się w obcym ciele, nie bój się…”.

Ale on się bał. Skóra kłuła go ze strachu i przebiegało po niej wywołane nim zimno. Żołądek skręcał się w węzeł. Jego skóra i jego żołądek, ale jednak jakoś nie czuł ich tak swobodnie jak zwykle, sprawiały wrażenie nowego płaszcza, który jeszcze nie do końca się dopasował do człowieka … Uchylił oczy, ostrożnie, cieniutką szparką…

Zobaczył ciało, rozciągnięte na boku, na brudnej słomie. Ciało należało do niego, przecież czuł jak kłuje go słoma, świerzbienie małych stworzeń, które pełzały, gryzły i znów pełzały…

Było to silne ciało, obszerne i o twardych mięśniach, znacznie większych niż jego dawne. W oczywisty sposób nie głodowało ono przez pierwsze dwadzieścia kilka lat swego życia. Był zupełnie nagi. Pogoda i przemoc wypisały na nim długą historię życia, białymi znakami blizn po ciosach na brązie opalonej skóry, ale wydawało się, że niczego mu nie brakuje. Na piersiach, udach i przedramionach wyrastały mu czarne włosy, a dłonie były szczupłe i żylaste, idealne do zabijania.

To było ludzkie ciało. Przynajmniej coś. Było przecież tak wiele innych stworzeń, których jego rasowy snobizm mógłby nie pozwolić mu na nazwanie ich ludźmi. Tak jak to bezimienne migoczące stworzenie, uśmiechające się dziwnymi bladymi wargami.

Starke ponownie zamknął oczy.

Leżał, nieuchwytna jaźń, będąca Hughem Starke, rozciągająca się w obcej skorupie, czekała spokojna, skupiona w sobie, wyczekująca. Panika pełzała w górę i w dół jego miękkich, czarnych łapsk. Wędrowała dokoła przycupniętego ego i obwąchiwała je, poszturchiwała, jęcząc żałośnie, a potem uderzyła nagle, z wyciągniętymi pazurami. Po chwili odeszła, z niczym.

Wargi, będące teraz wargami Starke'a, wykrzywiły się w cienkim, okrutnym uśmiechu. Przeżył kiedyś sześć miesięcy w samotnych kryptach Luny. Jeśli człowiek zdołał tego dokonać i wyszedł stamtąd o zdrowych zmysłach i na własnych nogach, mógł wytrzymać wszystko. Nawet to.

Przyszło mu wtedy do głowy, dosyć deprymująco, że kobieta i jej czterej towarzysze prawdopodobnie złagodzili szok poprzez sugestię hipnotyczną. Jego podświadomość zrozumiała i zaakceptowała zmianę. Tylko jego świadomy umysł powierzchownie był wystraszony na śmierć.

Hugh Starke przeklął kobietę z wielką starannością, w siedmiu językach i kilku dziwnych dialektach. Był naprawdę solidnie rozwścieczony, że jakaś dama mogła bawić się nim w taki sposób. Potem zaczął myśleć. Do diabła, ja żyję. I wygląda, że zrobiłem na tej wymianie najlepszy interes swego życia!

Otworzył znowu oczy, ukradkowo, spoglądając na swój nowy świat.

Leżał w jednym z końców kwadratowej kamiennej sali, solidnej wielkości, z dwoma prostymi rzędami filarów, wyciętych z ciemnego wenusjańskiego drewna. Stały w niej długie, toporne ławy i stoły. W okrągłych, ceglanych paleniskach, rozmieszczonych między filarami, rozpalone były ognie. Teraz zmieniły się już w żar. Unosił się z nich dym, matowiąc złote i brązowe tarcze wiszące na ścianach oraz ich zwieńczeniach, okopcając ostrza długich mieczy, włócznie, gobeliny, skóry i trofea.

W sali panowała zupełna cisza. Gdzieś na zewnątrz, toczyła się walka. Twarda, brutalna walka. Jej odgłosy nie zakłócały ciszy, lecz czyniły ją jeszcze głębszą.

W sali, oprócz Starke'a, było dwóch mężczyzn.

Byli blisko niego, na niskim podeście. Jeden z nich siedział w wysokim, rzeźbionym fotelu, bez ruchu, jego wielkie pokryte bliznami dłonie leżały przed nim płasko na stole. Drugi przysiadł na podłodze, u jego stóp. Głowę miał nisko pochyloną do przodu, tak że grzywa jego białych jak śnieg włosów skrywała mu twarz i trzymaną między udami harfę. Był to niewielki człowieczek, sądząc po jego cechach albinosa, z pobrzeży bagien. Starke przesunął z powrotem wzrok na człowieka w fotelu.

Mężczyzna przemówił ochryple:

— Dlaczego nie przysyłają wieści?

Harfa wydała z siebie nagły, pełen goryczy akord. To było wszystko.

Starke ledwie to zauważył. Cała jego uwaga zwrócona była na mówiącego. Serce zaczęło mu walić. Mięśnie naprężyły się i leżał gotów do działania. W ustach czuł gorzki posmak. Rozpoznał go bez trudu. To była nienawiść.

Nigdy przedtem nie widział tego człowieka na oczy, ale ręce aż mu się skręcały z żądzy zabijania.

Był wielki, miał niemal siedem stóp, i umięśniony jak koń pociągowy. Ale jego ciało, nagie pod naszywanym złotem skórzanym kiltem, pomimo swej wagi było giętkie i szybkie, jak charta. Twarz miał kwadratową, o wydatnych kościach, opaloną i ciągle młodą. Kiedyś ta twarz wiele się śmiała, lubiła wino i ładne dziewczyny. Teraz jednak, zapomniała o tych wszystkich rzeczach, może poza winem. Była ściągnięta i okrutna, przesiąknięta bólem, miała wygląd jak u stworzenia w klatce. Starke widział już kiedyś podobne oblicza, w więzieniu na Lunie. Przez czoło mężczyzny przebiegała gruba, biała blizna. Znajdujące się pod nią niebieskie oczy, były głęboko zatopione i ciemne, za na wpół zamkniętymi powiekami. Mężczyzna był ślepy.

Na zewnątrz, w oddali, ludzie krzyczeli i umierali.

Starke stawał się coraz bardziej świadom bólu i ucisku wokół swojej szyi. Uniósł rękę, ostrożnie, aby nie zaszeleścić słomą. Jego palce wyczuły długą, skłębioną brodę, wsunęły się pod nią i dotknęły metalowego pasa.

Nowe ciało Starke’a nosiło obrożę, jak dziki pies.

Do obroży przymocowany był łańcuch. Starke nie mógł znaleźć żadnego zapięcia. Był przyspawany do niej na stałe. Jego ciału wydawało się to w ogóle nie podobać. Szyja była cała poobcierana i poraniona.

Krew zaczęła napływać Starke’owi do głowy, coraz większym gorącem. Nosił już kiedyś przedtem łańcuchy. Nie lubił ich. Zwłaszcza kiedy były uwiązane wokół szyi.

Nagle, w dalszym końcu sali otworzyły się drzwi. Po czarnej, kamiennej podłodze rozlały się przez nie mgła i czerwone światło dzienne. Do środka wszedł mężczyzna. Był wielki, na wpół nagi, jasnowłosy i zakrwawiony. Długie ostrze miecza szurało za nim zgrzytliwie po kamiennych płytach. Pierś miał rozciętą do kości i wolną ręką ściskał razem brzegi rany.

— Beudag przesyła wiadomość — oznajmił. — Zepchnęli nas w tył, do miasta, ale ciągle jeszcze utrzymujemy Bramę.

Nikt się nie odezwał nawet słowem. Mały człowieczek skinął tylko swoją białą głową. Człowiek z rozchlastaną piersią odwrócił się i wyszedł z powrotem na dwór, zamykając za sobą drzwi.

Na dźwięk imienia Beudag, w Starku zaszła osobliwa zmiana. Słyszał je po raz pierwszy w życiu, ale zawisło ono w jego umyśle jak grot włóczni, ostry jak igła z dziwnej emocji. Nie potrafił zidentyfikować tego uczucia, ale odsunęło ono ślepego mężczyznę zupełnie na bok. Prosta, gorąca nienawiść, ochłodła. Starke odprężył się w swego rodzaju lodowatej samokontroli, zwodniczym spokoju jak u śpiącej kobry. Nie zadawał sobie na żadnych pytań ten temat. Czekał, tylko kiedy pojawi się Beudag.

Ślepy mężczyzna, plasnął nagle dłońmi w stół i podniósł się na nogi.

— Romna — powiedział. — Daj mi mój miecz.

Mały człowieczek popatrzył na niego. Miał mlecznobiałe oczy i twarz jak przyjazny buldog. Odparł:

— Nie bądź głupcem, Faolanie.

Faolan stwierdził miękko:

— Do licha z tobą. Daj mi mój miecz.

Na zewnątrz sali umierali ludzie i nie umierali w milczeniu. Skóra Faolana była tłusta od potu. Wykonał nagły, błyskawiczny ruch ręką w stronę Romny, usiłując go uchwycić.

Romna uchylił się przed nim. W jego bladych oczach widać było łzy. Oznajmił brutalnie:

— Byłbyś tylko przeszkodą. Siadaj!

— Mogę znaleźć sobie miejsce — odparł Faolan, — w którym upadnę.

Głos Romny uniósł się do poziomu ochrypłego wrzasku:

— Zamknij się! Zamknij się i siadaj!

Faolan pochwycił krawędź stołu i pochylił się nad nim. Zadrżał i zamknął oczy, a spod powiek popłynęły mu gorące łzy. Bard odwrócił się, a jego harfa załkała jak kobieta.

Faolan wciągnął głęboki, przypominający westchnienie, oddech. Wyprostował się powoli, obszedł dookoła swój wysoki, rzeźbiony fotel i ruszył powoli w stronę Starka

— Jesteś bardzo cichy, Conanie — powiedział. — Co się dzieje? Powinieneś być szczęśliwy, Conanie. Powinieneś śmiać się i grzechotać swoim łańcuchem. Dostaniesz wszystko, czego pragnąłeś. Jesteś smutny, ponieważ nie zostało ci już wystarczająco dużo rozumu, aby to pojąć?

Zatrzymał się i przesunął odzianą w sandał stopę po słomie, aż w końcu dotknął nią uda Starke'a. Starke leżał bez ruchu.

— Conan — powiedział ślepy człowiek łagodnie, naciskając stopą brzuch Starke'a. — Conan, pies. Zdrajca, rzeźnik, nóż w plecach. Pamiętasz, co zrobiłeś w Falga, Conanie? Nie, teraz już nie pamiętasz. Byłem dla ciebie trochę niemiły, i już tego nie pamiętasz. Ale ja pamiętam, Conanie. Tak długo jak będę żył w ciemnościach, będę pamiętał.

Romna uderzył w struny harfy, i zapłakały one dzikimi łzami za silnych ludzi zabitych na skutek zdrady. Cicha muzyka, odległa, ale nie

delikatna. Faolan zaczął drżeć. Czysto fizyczne, zwierzęce ruchy mięśni. Twarz miał ściągniętą, jak żelazo ukształtowane pod uderzeniami młota. Zupełnie niespodziewanie, padł na kolana. Jego dłonie uderzyły w ramiona Starke'a, zsunęły się do środka na gardło i zamknęły się na nim.

Odgłosy walki na zewnątrz, zamarły.

Starke poruszył się, błyskawicznie. Tak jakby widział go za sobą i wiedział że tam jest, jego ręka śmignęła do tyłu, złapała za luźny zwój ciężkiego łańcucha i machnęła nim.

Metalowe ogniwa wystrzeliły w zabójczym uderzeniu. Starke z całego serca pragnął roztrzaskać Faolanowi głowę. Ale w ostatniej chwili pociągnął za łańcuch, uderzając nim wielkiego mężczyznę z delikatną precyzją w tył głowy. Faolan chrząknął i upadł na bok, a do tego czasu nadbiegł Romna. Odrzucił swoją harfę i wyciągnął nóż. W jego oczach widać było zaskoczenie.

Starke zerwał się na nogi. Wycofał się, ostrzegawczo wymachując luźnym zwojem łańcucha. Jego nowe ciało poruszało się we wspaniały sposób. Na zewnątrz wszystko było w porządku, ale we wnętrzu jego struktury psychiczno-nerwowej wybuchła prawdziwa wojna domowa. Był wściekły na siebie, za to że nie zabił Faolana. Był wściekły na siebie, za tak ogromną utratę kontroli, by pragnąć zabić tego człowieka bez żadnego powodu. Nienawidził Faolana. Nie nienawidził Faolana, ponieważ nie znał go wystarczająco dobrze. Wytrenowany, zimno kalkulujący, pozbawiony emocji umysł Starke'a zwarł się w uścisku z ogromną falą napływających bezpodstawnych emocji.

Nie uświadamiał sobie, że były one bezpodstawne, dopóki jego mentalny strażnik, uwarunkowany przez lata surowej samokontroli, nie powstrzymał go przez zabójstwem. Teraz, przypomniał sobie głos tej kobiety, mówiący: „Mój umysł będzie z twoim, pokieruję tobą…”.

Ślepe narzędzie, co? Wynajęty sługus, opłacony nowym ciałem w zamian za dwa życia. Taaa, dwa. Ten Beudag, kimkolwiek by on nie był. Starke teraz jasno pojmował, do czego prowadziły go te zimne, obce emocje.

— Powstrzymaj to — oznajmił Starke ochrypłym głosem. — Powstrzymaj to wszystko! Ślepe narzędzie! Ty zielonooka diablico! Tym razem wybrałaś niewłaściwego człowieka.

Przez krótką przelotną chwilę ponownie ją zobaczył, pochyloną do przodu, z włosami spływającymi jak strumień wody z jej skrzących się delikatnymi drobinkami piany ramion. Jej blado-morskie oczy pełne były kpiącego śmiechu i bezpośredniego, prowokującego podziwu. Starke zupełnie wyraźnie usłyszał jak mówi:

— Możesz nie mieć wyboru, Hughu Starke. Oni znają Conana, nawet jeżeli ty go nie znasz. Poza tym, to nie ma większego znaczenia. Skończy się to dla nich zupełnie tak samo – to tylko kwestia czasu. Możesz uratować swoje nowe ciało, albo nie, jak sobie życzysz. — Uśmiechnęła się. — Wolałabym, żebyś to zrobił. To dobre ciało. Znałam je, kiedyś, zanim umysł Conana załamał się i zostawił je puste.

Nagła myśl przyszła Starke'owi do głowy.

— Moja kaseta, milion kredytów.

— Chodź tu i zabierz je sobie.

Zniknęła. Umysł Starke’a był czysty, bez żadnej obcej woli, która by się po nim pałętała. Faolan przykucający na podłodze, trzymał się za głowę. Spytał:

— Kto mówił?

Bard Romna stał, przypatrując się mu. Jego wargi poruszały się, ale spomiędzy nich nie wydobywał się żaden dźwięk.

Starke odparł:

— Ja mówiłem. Nazywam się Hugh Starke. Nie jestem Conanem i nigdy nie słyszałem o Faldze. Rozwalę łeb każdemu, kto się do mnie zbliży.

Faolan stał bez ruchu, z pustą twarzą, oddech szlochał mu w gardle. Romna zaczął przeklinać, miękkim nieobecnym tonem, tak jakby myślał nad tym, co usłyszał. Starke obserwował ich.

Drzwi w końcu sali stanęły otworem. Ciężka czerwonawa mgła zmieszała się nad płytami podłogi ze światłem dnia, a potem z rozgrzanymi walką ciałami, przynoszącymi ze sobą zapach krwi.

Starke poczuł jak serce bijące we włochatej piersi ciała kogoś, kto nazywał się Conan, kurczy się na widok jednej z postaci, prowadzącej całą grupę.

Romna zawołał:

— Beudag!

Była wysoka. Zbudowana i umięśniona jak lwica. Szła z dumną, wyprostowaną arogancją, a jej włosy przypominały skręcony płomień. Oczy miała niebieskie, gorące i jasne, takie jakie niegdyś mógł mieć Faolan. Wyglądała jak Faolan. Ubrana była tak samo jak on, w skórzany kilt i sandały, jej wspaniałe ciało było nagie powyżej bioder. Niosła przewieszony przez plecy długi miecz, którego rękojeść wystawała ponad jej lewym ramieniem. Widać było, że go przed chwilą używała. Jej skóra wymazana była krwią i brudem. Na udzie miała długie rozcięcie, drugie na płaskim brzuchu, a ogromne zmęczenie spoczywało ciężarem na jej barkach, pomimo tego, że starała się go nie okazywać.

— Zatrzymaliśmy ich, Faolanie — oznajmiła. — Nie są w stanie zrobić wyłomu w Bramie i możemy utrzymać Crom Dhu tak długo, jak długo wystarczy nam żywności. A morze nas wykarmi. — Roześmiała się, ale jej śmiech zabrzmiał głucho. — Bogowie, jaka jestem zmęczona.

Zatrzymała się wtedy przed podwyższeniem. Jej płomienne niebieskie spojrzenie przebiegło przez Faolana, przez Romnę, uniosło się, by napotkać wzrok Hugha Starke’a i tak już pozostało.

Żyła pod szczęką Starke’a ponownie zaczęła pulsować, tym razem jego ciało było znacznie silniejsze, tak więc jej pulsowanie odczuwał jak walenie w bęben.

Romna wyjaśnił:

— Powrócił mu umysł.

Zapadła długa, ciężka cisza. Nikt w sali nawet nie drgnął. Potem stojący koło Beudag ludzie, ogromni, muskularni wojownicy w kiltach, zaczęli przesuwać się w stronę podwyższenia, mówiąc coś cichym, warczącym półgłosem, który stopniowo narastał do poziomu ryku tłumu. Faolan wstał i stanął naprzeciw nich, gromko nakazując im spokój.

— On należy do mnie! Zostawcie go! — Beudag wskoczyła na podwyższenie, jednym przepięknym, płynnym ruchem. — To niemożliwe — stwierdziła. — Jego umysł załamał się pod wpływem tortur. Był bełkoczącym idiotą, mającym zaledwie na tyle rozumu, aby móc się samemu karmić. A teraz, nagle, mówicie, że jest z powrotem normalny?

Starke wtrącił:

— Wiesz przecież, że jestem normalny. Możesz to zobaczyć w moich oczach.

— Tak.

Nie spodobał mu się sposób, w jaki to powiedziała.

— Posłuchaj, nazywam się Hugh Starke. Jestem Ziemianinem. To nie umysł Conana powrócił. To coś zupełnie nowego. Zostałem wsadzony do tego ciała. Nie wiem i nie mogę odpowiadać za to, co ono zrobiło zanim ja się w nim znalazłem.

Faolan powiedział:

— On nie pamięta Falgi. Nie pamięta długich statków na dnie morza.

Roześmiał się.

Romna cicho przypomniał:

— A jednak, nie zabił cię. A mógł to zrobić, zupełnie łatwo. Czy Conan by cię oszczędził?

Odpowiedziała mu Beudag.

— Tak, gdyby miał jakiś lepszy plan. Umysł Conana był jak wąż. Pełzał w ciemnościach i nigdy nie było wiadomo, gdzie i kiedy uderzy.

Starke zaczął im opowiadać, jak to się wydarzyło, huśtając leniwie łańcuchem w ręce. Kiedy mówił, zobaczył twarz odbitą w wypolerowanej tarczy, wiszącej na filarze. W większości składała się na nią masa skołtunionych czarnych włosów, zwisających na ramie z długich, ciężkich, wydatnych kości. Zmysłowe usta, z błyskiem czegoś w rodzaju czarnego humoru na nich. Oczy były żółte. Okrutną, jaskrawą żółcią, jastrzębia zabójcy.

Starke uświadomił sobie ze wstrząsem, że ta twarz należała do niego.

— Kobieta z bladozielonymi włosami — stwierdziła miękkim głosem Beudag.

— Rann — dokończył za nią Faolan, a harfa Romny wydała dźwięk przywodzący na myśl klątwę najwyższego kapłana.

— Jej lud ma taką moc — potwierdził Romna. — Potrafią przenieść duszę człowieka w pająka, a potem go rozdeptać.

— Oni mają wiele różnych mocy. Może Rann poszła za umysłem Conana, dokądkolwiek się on nie udał, pouczyła go co ma mówić i sprowadziła go z powrotem.

— Posłuchajcie — gniewnie rzucił Starke. — Ja nie prosiłem…

Nagle, bez ostrzeżenia, Romna wyciągnął miecz Beudag i rzucił nim w Starke'a.

Starke uchylił się przed nim. Popatrzył na Romnę gniewnymi, żółtymi oczyma.

— No pięknie. Najlepiej zakuć mnie w łańcuchy, tak żebym nie mógł walczyć, a potem zabić mnie z dużej odległości.

Nie podniósł miecza z podłogi. Nigdy jeszcze nie trzymał czegoś takiego w ręce. Łańcuch lepiej mu w niej leżał, nie różnił się specjalnie od ciężkiego pasa, długiego kawałka kabla czy innych łańcuchów, jakimi miał okazję od czasu do czasu wymachiwać.

Romna powiedział:

— Czy to jest Conan?

Faolan warknął:

— Co się stało?

— Romna rzucił moim mieczem w Conana. Ten uchylił się przed nim i zostawił go na ziemi. — Oczy Beudag zwęziły się. — Conan potrafił złapać miecz w locie za rękojeść i był najlepszym wojownikiem na Morzu Czerwonym, poza tobą, Faolanie.

— Próbuje nas oszukać. Rann mu doradza.

— Do diabła z Rann! — Starke trzasnął łańcuchem. — Ona chce, żebym zabił was oboje. Ciągle nie wiem dlaczego. Zgadza się, mógłbym zabić Faolana, bez trudu. Ale nie jestem mordercą. Nigdy nie zabiłem nikogo, chyba że ratując swą własną głowę. Tak więc, nie zabiłem i jego, pomimo namów Rann. Nie chcę stawać po żadnej stronie, ani Rann, ani waszej. Chcę tylko zabrać się stąd do diabła!

Beudag zauważyła:

— Ma inny akcent niż Conan. I spojrzenie jego oczu jest także odmienne.

W jej głosie brzmiała jakaś dziwna nuta. Romna obrzucił ją spojrzeniem. Zagrał palcami kilka urywanych akordów na swojej harfie i powiedział:

— Jest pewien sposób, żeby się tego dowiedzieć na pewno.

Ciemny rumieniec zaczął rozlewać się na policzkach Beudag. Romna odsunął się mimochodem poza zasięg jej ręki. W jego oczach zatańczyły błyski złośliwego śmiechu.

Beudag uśmiechnęła się jak gniewna kotka, pokazując wszystkie zęby, bez śladu wesołości. Nagle podeszła do Starke'a, z wyprostowaną głową i pustymi rękoma zwisającymi luźno po bokach. Starke spiął się czujnie, ale krew uderzyła go przyjemnie w pożyczonych żyłach.

Beudag go pocałowała.

Starke rzucił łańcuch. Miał coś lepszego do roboty, czym mógł zająć ręce.

Po chwili uniósł głowę, żeby złapać oddech, a ona zrobiła krok w tył i wyszeptała ze zdumieniem:

— To nie jest Conan.

Sala opustoszała. Starke umył się i ogolił. Jego nowa twarz nie była zła. Nie była zła, zupełnie. Prawdę mówiąc, była cholernie dobra. I nie była znana w całym Układzie. Ta twarz mogła posiadać milion kredytów, i nikt nie zadawałby żadnych pytań. Ta twarz mogła mieć mnóstwo zabawy za milion kredytów.

Musiał teraz tylko wymyślić sposób na ocalenie głowy na której twarz była zamocowana i wyciągnięcie swojego miliona kredytów od diablicy o imieniu Rann.

Ciągle pozostawał skuty, ale słoma została wymieniona na czystą, a on miał na sobie skórzany kilt i parę sandałów. Faolan siedział na swym wysokim fotelu, opiekując się dzbanem wina. Beudag wyciągnęła się ze zmęczeniem na futrzanym przykryciu, koło niego. Romna siedział ze skrzyżowanymi nogami, oczy zamykały mu się sennie, brzdąkał na swej harfie jakąś delikatną, ulotną melodię. Wyglądał jak z baśni. Starke znał jego lud mieszkający na obrzeżach bagien. Nie był zaskoczony.

— Ten człowiek mówi prawdę — powiedział Romna. — Ale dotykał go jeszcze jeden umysł. Rann, jak mi się wydaje. Nie ufam mu.

Faolan warknął:

— Nie zaufałbym nawet bogu, w ciele Conana.

Starke spytał:

— Co tu się dzieje? Cała ta bitwa, tam na zewnątrz, i ta pannica, Rann, próbująca umieścić zabójcę w samym jej środku. I co się stało w Faldze? Nigdy nawet nie słyszałem całym o tym cholernym oceanie, nie mówiąc już o miejscu, które nazywa się Falga.

Bard przejechał dłonią po strunach.

— Powiem ci, Hughu Starke. A być może nie będziesz chciał zostać w tym ciele ani chwili dłużej.

Starke wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dostrzegł przelotnie Beudag. Przyglądała mu się z dziwną intensywnością, spod przymrużonych powiek. Uśmiech Starke'a począł się rozpływać. Zaczął się irytować. Pozbyć się tego ciała, do diabła! To było naprawdę niezłe ciało. W swoim własnym chuderlawym, małym zezwłoku, nigdy nie czuł się tak dobrze jak teraz.

Bard zaczął opowiadać.

— Na początku, w Morzu Czerwonym, żyła rasa ludzi, którzy zachowali nadal swe płetwy i łuski. Byli istotami ziemno-wodnymi, ale po pewnym czasie część ich rasy zachciała pozostać w pełni na lądzie. Doszło do zwady i walki, i część z tego ludu odeszła z morza na zawsze. Osiedlili się wzdłuż wybrzeża. Stracili płetwy i większość łusek. Znali wielkie moce umysłu i kochali władzę. Podbili inne ludy ludzkie i utrzymywali ich niemalże w stanie niewolnictwa. Nienawidzili swych braci, którzy ciągle żyli w morzu, a ich bracia odpowiadali im nienawiścią.

— Po jakimś czasie, nad Czerwone Morze dotarł trzeci lud. Byli piratami z północy. Napadali, plądrowali ale nie niewolili ludzi. Założyli osiedle na Crom Dhu, Czarnej Skale, zbudowali długie statki i nałożyli cła na nadbrzeżnie miejscowości.

— Jednak zniewolone ludy nie chciały walczyć przeciwko przybyszom. Wolały walczyć razem z nimi, aby zniszczyć morski lud. Piraci byli ludźmi,

a krew woła za krwią. Przybysze także lubili rządzić, a to była bogata kraina. Ponadto w ich rozwoju plemiennym nadszedł czas, żeby zmienić się z koczowniczych wojowników w budowniczych swego własnego państwa.

— I tak przybysze, morski lud i zniewolone ludy, które dostały się w pułapkę pomiędzy tymi dwiema stronami, rozpoczęły swoją walkę o ziemię.

Palce barda uderzyły o struny tak mocno, że te zahuczały jak rozgniewane serca. Starke widział, że Beudag ciągle go obserwuje, badając każdą zmianę wyrazu jego twarzy. Romna kontynuował:

— Była sobie pewna kobieta o imieniu Rann, która miała zielone włosy i była bardzo piękna. Rządziła ona morskim ludem. Był sobie również mężczyzna, o imieniu Faolan ze Statków, oraz jego siostra Beudag, co oznacza Sztylet-w-pochwie, którzy władali obcymi piratami. No i był sobie mężczyzna o imieniu Conan.

Harfa buchnęła dźwiękami przypominającymi uderzenia kling mieczy.

— Conan był wielkim wojownikiem i wspaniałym kochankiem. Był następny po Faolanie ze Statków, a Beudag kochała go i byli sobie przyrzeczeni. Potem Conan został jeńcem morskiego ludu podczas jednej z potyczek, i ujrzała go Rann – a Conan ujrzał Rann.

Hughowi Starke stanęło przed oczyma przelotne wspomnienie uśmiechniętej twarzy Rann i jej cichego głosu, mówiącego: „To dobre ciało. Znałam je, kiedyś…”.

Oczy Beudag zmieniły się w dwa niebieskie kryształy witriolu, spoglądające spod lekko uniesionych powiek.

— Conan przez długi czas pozostawał w Faldze z Rann z Czerwonego Morza. Potem powrócił do Crom Dhu, opowiadając że uciekł i odkrył sposób na wprowadzenie długich statków do portu w Faldze, za plecy floty Rann; stamtąd łatwo będzie pochwycić miasto, a z nim samą Rann. I Conan oraz Beudag zostali poślubieni.

Spojrzenie żółtych jastrzębich oczu Starke'a, prześlizgnęło się po Beudag, leżącej jak lwica, w pełni piękna i potęgi. Mięsień pod jego kością policzkową zaczął się napinać. Beudag spłonęła rumieńcem, z wolna pogłębiającym swój kolor. Jej spojrzenie nawet nie drgnęło.

— I tak długie statki wyruszyły z Crom Dhu, przez Czerwone Morze. Conan poprowadził je do Falgi prosto w pułapkę, i ponad połowa z nich została zatopiona. Conan myślał, że jego okręt jest już wolny, oraz że ma Rann i wszystko to, co mu obiecała, ale Faolan zobaczył co się stało i ruszył za nim. Walczyli, Conan ciął swoim mieczem przez brew Faolana i oślepił go, ale to Conan przegrał walkę. Beudag zabrała go do domu.

— Conan został zakuty w łańcuchy, nagi, na rynku. Ludzie uważali, żeby go nie zabić. Od czasu do czasu robiono mu pewne rzeczy. Po jakimś czasie, jego umysł został złamany i Faolan zabrał go i przykuł tutaj, w wielkiej sali, gdzie mógł słuchać jak zdrajca bełkocze i bawi się swoim łańcuchem. To czyniło otaczającą go ciemność łatwiejszą do zniesienia.

— Ale od czasu Falgi, sprawy układały się dla Crom Dhu źle. Zbyt wielu ludzi zginęło, zbyt wiele statków stracono. Teraz, ludzie Rann zamknęli nas tutaj jak w klatce. Oni nie mogą się przebić do środka, my nie

możemy wyrwać się na zewnątrz. I tak, pozostaniemy tu, aż do czasu… — Harfa wykrzyczała pełne goryczy pytanie i umilkła.

Po chwili, może dwu, Starke powoli się odezwał:

— Taaa, rozumiem wszystko. Pat z obu stron. A Rann wymyśliła sobie, że jeśli uda mi się zabić przywódców, to wasi ludzie mogą się poddać. — Zaczął przeklinać. — Co za podłe, ohydne, podstępne zagranie! Ale kto jej powiedział, że może użyć do tego mnie…

Przerwał. Pomimo wszystko, mógłby teraz leżeć martwy. Pomimo wszystko, dostał nowe ciało i szeleszczący milionik kredytów. Ach, do diabła z Rann. Nie prosił jej o to. I nie będzie dla nikogo zabijał za pieniądze. Skąd jej to przyszło do głowy, że może skradać się wokół jego umysłu, usiłując skłonić go do zrobienia rzeczy, o których nawet nic nie wiedział. A szczególnie komuś takiemu jak Beudag.

A jednak, sama Rann, nie była jakimś obmierzłym śmieciem.

I gdzie w tym wszystkim miałoby być miejsce dla Hugha Starke'a? Zagranie było niezłe. Jak cios długim mieczem, prosto przez brzuch. Wychodził sam na sam z bramkarzem, i już wcześniej prowadził trzy do zera.

Zaczynał żałować, że w ogóle zbliżał się do tego statku z wypłatą dla T-V Mines. Gdyby tego nie zrobił nigdy by nawet nie zobaczył na oczy Gór White Cloud.

Powiedział, ponieważ wszyscy zdawali się czekać, że coś powie:

— Zazwyczaj, kiedy ma się do czynienia z podobnym patem, ktoś wzywa na pomoc trzecią stronę. Czy jest ktoś, kogo moglibyście zawołać?

Faolan pokręcił swoją rudą, twardą głową.

— Niewolnicze ludy mogłyby powstać, ale one nie mają broni, ani nie są przyzwyczajone do walki. Zostaliby tylko zmasakrowani, a to w żaden sposób by nam nie pomogło.

— A co z tymi innymi – ehmm – ludźmi, którzy żyją w morzu? A w każdym razie, czym właściwie jest to morze? Odrobina promieniowania z niego, zniszczyła mój statek i zmieniła moje ciało w krwawy ochłap.

Beudag odparła powoli:

— Nie wiem, czym ono jest. Morza, po których żeglowali nasi przodkowie tworzyła woda, lecz to jest inne. Statki mogą się na nim unosić, jeśli się wie jak zbudować kadłub – bardzo cienki, z białego metalu, który wydobywamy u podnóży gór. Ale kiedy próbuje się w nim pływać, ma się wrażenie jakby znalazło się w chmurze baniek. Wywołuje ciarki, a im głębiej się w nie zapuścić, tym bardziej dziwne się staje, ciemne i pełne ognia. Czasami pozostawałam na dole przez całe godziny, polując na bestie, które tam żyją.

Starke spytał:

— Przez godziny? Macie więc skafandry do nurkowania. Jak one działają?

Pokręciła głową, śmiejąc się:

— Dlaczego sam nie spróbujesz tak ponurkować? W tym oceanie nie ma problemów z oddychaniem.

— Daj spokój — odparł Starke. — Cholera, niech mnie diabli. A więc, to musi być jakiś ciężki gaz, radioaktywny, napięcie powierzchniowe pod tutejszym ciśnieniem atmosferycznym jest wystarczająco duże, aby unieść lekki statek, i ma dużą zawartość tlenu, bez żadnych niebezpiecznych domieszek. Proszę, proszę. No dobrze, dlaczego więc nikt wyruszy tam i nie dowie się, czy ludzie morza nam nie pomogą? Jak mówiliście, nie lubią specjalnie gałęzi rodu Rann.

— Nas również nie lubią — wyjaśnił Faolan. — Trzymamy się z daleka od południowej części morza. Czasami niszczą nasze statki. — Jego zgorzkniałe usta wykrzywiły się w uśmiechu. — Chciałbyś udać się do nich po pomoc?

Starkowi nie do końca spodobał się ton głosu Faolana.

— To była tylko sugestia — powiedział.

Beudag wstała i przeciągnęła się, krzywiąc się gdy zesztywniałe rany ją zapiekły.

— Chodź, Faolanie. Idziemy spać.

Podniósł się i położył rękę na jej ramieniu. Struny harfy Romny wydały z siebie cichutki kpiący dźwięk. Oczy Barda były zamknięte i senne. Beudag nie patrzyła na Starke'a, nazywanego Conanem.

Starke zapytał:

— A co ze mną?

— Ty pozostaniesz w łańcuchach — odparł Faolan. — Mamy mnóstwo czasu do namysłu. Dopóki mamy co jeść – a morze nas karmi.

Wyszedł za Beudag przez zasłonięte kotarą wyjście, po lewej stronie. Romna wstał, powoli, przerzucając harfę przez jedno z białych ramion. Stał, patrząc przez dłuższy czas w oczy Starke'a, w gasnącym świetle ogni.

— Nie wiem — wymamrotał.

Starke czekał, nie odzywając się. Twarz miał bez wyrazu.

— Conana znaliśmy. Starke'a nie znamy. Być może lepiej by było, gdyby to Conan powrócił. — Przesunął mimochodem kciukiem po rękojeści noża za pasem. — Nie wiem. Może lepiej byłoby dla nas wszystkich, gdybym podciął ci gardło, zanim przyjdzie tu Beudag?

Usta Starke'a wykrzywiły się. To nie do końca był uśmiech.

— Widzisz — poważnie oznajmił bard, — dla ciebie, człowieka z zewnątrz, nic tutaj nie jest ważne, poza tym co dotyczy ciebie. Ale my musimy żyć w tym małym świecie. My w nim umieramy. Dla nas, to jest ważne.

W jednej chwili nóż znalazł się w jego dłoni. Poleciał w górę, połyskując w resztkach gasnącego blasku ognia i spadł na dół. Poleciał ponownie.

— Walczysz dla siebie, Hughu Starke. Rann także walczy za twoim pośrednictwem. Nie wiem.

Spojrzenie Starke'a nie zadrżało.

Romna wzruszył ramionami i schował nóż.

— Tak zostało zapisane przez bogów — powiedział, wzdychając. — Mam nadzieję, że pisząc to, nie wykonali złej roboty.

Wyszedł. Starke zaczął lekko drżeć. W sali panowała kompletna cisza. Sprawdził swoją obrożę, nity, każde kolejne ogniwo łańcucha, hak do którego był przymocowany. Potem usiadł na futrzanym posłaniu, które dostał w miejsce słomy. Schował twarz w dłoniach i zaczął kląć, nieprzerwanie, przez kilka minut, a potem uderzył mocno pięściami w podłogę. Po tym wszystkim, położył się i uspokoił. Pomyślał, że może Rann będzie chciała z nim rozmawiać. Nie chciała.

Czarne, ciche godziny, które wędrowały przez jego serce, były gorsze niż te spędzone przez niego w kryptach Luny.

Przyszła cicho w miękkim obuwiu, niosąc ze sobą świecę. Beudag, Sztylet-w-Pochwie. Starke nie spał. Podniósł się i stał, czekając. Postawiła świecę na stole, podeszła i zatrzymała się, nie dochodząc do niego. Miała na sobie zwój, cienkiej, białej tkaniny, luźno zawinięty na biodrach i opadający aż do kostek. Jej ciało wyrastało z niego prosty i pięknym, kształtem, poznaczone niemalże mistycznie cieniami, w świetle niewielkiego drżącego płomyka świecy.

— Kim jesteś? — wyszeptała. — Czym jesteś?

— Człowiekiem. Nie Conanem. Może nawet już nie Hughem Starke. Po prostu, człowiekiem.

— Kochałam człowieka o imieniu Conan, dopóki…

Wzięła głębszy oddech i przysunęła się bliżej. Położyła dłoń na ręce Starke'a. Dotknięcie przeszło przez niego jak biały ogień. Jej ciepły, czysty, zdrowy zapach, zasmakował mu słodko w gardle. Oczy kobiety znalazły jego.

— Jeżeli Rann ma takie potężne moce, to czy nie mogło być tak, że Conan został zmuszony do tego, co zrobił? Czy nie mogło być tak, że Rann wzięła jego umysł i przemodelowała na swój sposób, może nawet bez jego wiedzy?

— To możliwe.

— Conan był porywczy i kłótliwy, ale on…

Starke powoli powiedział:

— Nie wydaje mi się, abyś mogła go kochać, gdyby nie był uczciwy.

Jej dłoń nadal spoczywała na jego przedramieniu. Stała, przyglądając mu się, a potem jej ręka zaczęła się trząść, i w jednej chwili zalała się łzami, zupełnie bezgłośnie. Starke przyciągnął ją łagodnie do siebie. Jego oczy błyszczały żółtawo w blasku świecy.

— Kobiece łzy — oznajmiła niecierpliwie po chwili. Spróbowała się odsunąć. — Walczyłam zbyt długo, przegrywając. Jestem już zmęczona.

Pozwolił jej cofnąć się o krok, ale nie dalej.

— Czy wszystkie kobiety w Crom Dhu walczą jak mężczyźni?

— Jeśli tego chcą. Zawsze bywały wśród nas dziewice z tarczą. A od czasu Falgi i tak musiałabym pogrążyć się w walce, żeby za wiele nie myśleć. — Dotknęła obroży na szyi Starke'a. — I nie widzieć.

Pomyślał o Conanie, na placu targowym, oraz o Conanie potrząsającym łańcuchem i bełkocącym nieskładnie w sali Faolana. A

Beudag musiała się temu wszystkiemu przyglądać. Palce Starke’a zacisnęły się. Przesunął swe dłonie do góry, po gładkich mięśniach jej rąk, wzdłuż prostych, szerokich płaszczyzn jej ramion, na szyję, wyczuwając jak jej dumna siła pulsuje mu pod palcami. Jej włosy opadały luźnymi splotami. Niemal czuł jak pali go ich ognista czerwień.

Szepnęła:

— Nie kochasz mnie.

— Nie.

— Jesteś uczciwym człowiekiem, Hughu Starke.

— Chcesz, żebym cię pocałował.

— Tak.

— Jesteś uczciwą kobietą, Beudag.

Jej wargi były głodne, namiętne, z lekkim posmakiem goryczy łez. Po chwili, Starke zdmuchnął świecę…

— Mógłbym cię pokochać, Beudag.

— Nie w taki sposób, o jaki mi chodzi.

— Sposób, o jaki ci chodzi. Nigdy nie powiedziałem tego jeszcze żadnej kobiecie. Ale ty nie jesteś podobna do żadnej z kobiet, jakie znałem wcześniej. A… a ja także jestem innym człowiekiem.

— Dziwne… takie dziwne. Conan, a jednak nie Conan.

— Mógłbym cię pokochać, Beudag… jeśli przeżyję.

W ciemnościach rozległo się brzęczące westchnienie strun harfy, najlżejszy szmer najcichszego dźwięku. Beudag drgnęła zaskoczona, westchnęła i podniosła się futrzanego posłania. Po chwili znalazła krzemień i hubkę, a potem zapaliła świecę. Bard Romna stał w zasłoniętym kurtyną wejściu, obserwując ich.

Po chwili, powiedział:

— Masz zamiar pozwolić mu odejść.

Beudag odparła:

— Tak.

Romna skinął głową. Nie wyglądał na zaskoczonego. Przeszedł przez podium, kładąc swoją harfę na stole, i wyszedł do innego pomieszczenia. Wrócił niemal natychmiast z piłką do metalu.

— Pochyl głowę — powiedział do Starke’a.

Metal obroży był miękki. Kiedy został przecięty, Starke wsadził palce pod pasek metalu i bez trudu go rozgiął. Jego dawne ciało nigdy by tego nie było w stanie zrobić. Jego dawne ciało nie dałoby rady zrobić bardzo wielu rzeczy. Pomyślał, że Rann nie oszukała go. A przynajmniej nie aż tak bardzo.

Wstał, patrząc na Beudag. Jej głowa opadła do przodu, a twarz skryła się za zasłoną lśniących włosów.

— Jest tylko jedna możliwa droga ucieczki z Crom Dhu — powiedziała. Jej głos był całkowicie wyprany z emocji. — Jest tu przejście prowadzące przez skały do tajemnego portu, na tyle dużego, aby mogła w nim zacumować łódka lub dwie. Może dzięki nocy i mgle, uda ci się prześlizgnąć przez blokadę Rann. Albo może zdołasz dostać się na pokład jednego z jej statków i popłynąć do Falgi. — Wzięła świecę. — Zaprowadzę cię tam.

— Czekaj — przerwał jej Starke. — A co z tobą?
Obrzuciła go wzrokiem, zaskoczona.
— Oczywiście, ja zostaję.
Popatrzył jej w oczy.
— W ten sposób, trudno nam będzie się ze sobą poznać.
— Nie możesz tu zostać, Hughu Starke. Ludzie rozdarliby cię na strzępy, zaraz jak tylko pojawiłbyś się na ulicy. Mogą nawet zaatakować pałac, żeby cię dostać w ręce. Popatrz tylko.
Zgasiła świecę i podprowadziła go do wąskiego okna, odsuwając zasłonę, która je zakrywała.
Starke zobaczył wąskie, kręte uliczki, opadające stromo w dół, w kierunku ponurego morza. W porcie pełno było zniszczonych i zatopionych długich statków. Dalej, poza nim, poruszały się, migocząc w czerwonej mgle światłami, inne statki. Statki Rann.
— Tam dalej — pokazała Beudag, — jest stały ląd. Crom Dhu połączone jest z nim skalną groblą. Ludzie morza zajmują teren poza nią, ale jesteśmy w stanie utrzymać skalny pomost, dopóki choćby jeden z nas jest przy życiu. Mamy wystarczająco dużo wody, wystarczająco dużo żywności z morza. Ale na Crom Dhu nie ma ziemi uprawnej ani zwierzyny łownej. Już niedługo bez skór albo lnu zostaniemy zupełnie nadzy, a bez ziarna i owoców będzie dręczył nas szkorbut. Jesteśmy pokonani, chyba że bogowie ześlą nam cud. A jesteśmy pokonani, z powodu tego, co się stało w Faldze. Potrafisz chyba zrozumieć, co czują ludzie.
Starke popatrzył na ciemne ulice i milczące domy, opierające się ramię w ramię jeden o drugi, i na drwiące światełka, dalej we mgle.
— Taaa. Potrafię zrozumieć.
— Poza tym jest jeszcze Faolan. Nie wiem, czy on uwierzył w twoją historię. Nie wiem, czy w ogóle ma to jakiekolwiek znaczenie.
Starke skinął głową.
— Ale ty nie popłyniesz ze mną?
Odwróciła się od niego ostro i ponownie chwyciła świecę.
— Idziesz z nami, Romna?
Bard skinął głową. Zarzucił sobie harfę na ramię. Beudag uniosła zasłonę w małym wyjściu na przeciwległej ścianie. Starke przeszedł przez nie, mając Romnę za sobą. Beudag szła na czele, ze świecą. Nikt się nie odzywał.

Szli wąskim korytarzem, przechodząc przez pomieszczenia magazynowe i zbrojownie. Zatrzymali się raz, kiedy Starke wybrał sobie nóż i drugi, kiedy Romna wyszeptał: „Czekajcie!”. Przez chwilę uważnie nasłuchiwał. Starke i Beudag wytężali uszy razem z nim. Nie było słychać żadnego szmeru. Romna wzruszył ramionami.
— Wydawało mi się, że słyszałem chrobot sandałów na kamiennej posadzce — wyjaśnił.
Ruszyli dalej.

Tajne przejście rozpoczynało się za drewnianymi drzwiami. Prowadziło stromo w dół, przez skałę – pojedynczy wąski korytarz, bez bocznych galerii czy odgałęzień. W kilku miejscach musieli zejść po kręconych schodach. Kończył się on ostatecznie na płaskim występie tuż ponad powierzchnią wody w ustronnej niewielkiej jaskini, otoczonej czarnymi skałami. Beudag odstawiła świecę.

Do pierścieni przy występie, zacumowane były dwie niewielkie łodzie, zbudowane z jakiegoś lekkiego metalu. O ścianę pieczary stały oparte dwa długie wiosła. Zrobione były z jakiegoś innego metalu i zakończone dziwnymi piórami. Beudag położyła jedno na ławeczce bliższej z łodzi. Potem odwróciła się do Starke'a. Romna zniknął gdzieś w cieniach wejścia do tunelu.

Beudag powiedziała cicho:

— Żegnaj, człowieku bez imienia.

— Czy to musi być pożegnanie?

— Jestem teraz przywódcą, w miejsce Faolana. Poza tym, to są moi rodacy. — Jej palce zacisnęły się na jego nadgarstkach. — Gdybyś tylko mógł… — Jej oczy rozbłysły krótkotrwałym blaskiem nadziei. Potem opuściła głowę i powiedziała: — Ciągle zapominam, że nie jesteś jednym z nas. Żegnaj.

— Żegnaj, Beudag.

Starke wziął ją w ramiona. Przywarł do jej ust, niemalże okrutnie. Ramiona Beudag mocno zacisnęły mu się wokół głowy, oczy miała na wpół przymknięte i rozmarzone. Dłonie Starke'a prześlizgnęły się w górę, do jej gardła i zacisnęły się na nim.

Odchyliła się do tyłu, jej ciało zmieniło się w stalowy łuk. Oczy zachowały w sobie ogień, patrząc w oczy Starke'a, ale tylko przez krótką chwilę. Jego palce z biegłością nacisnęły na centra nerwowe. Beudag upadła bezwładnie do przodu, a wtedy na plecach Starke'a siedział już Romna zaś jego nóż wbijał się w gardło Starke'a.

Starke chwycił go za nadgarstek i wykręcił ostrze noża od siebie. Krew spływała mu po klatce piersiowej, ale pchnięcie nie trafiło w tętnicę. Rzucił się do tyłu, na kamienie. Romna nie zdołał uwolnić się na czas. Powietrze wyszło mu z płuc w jednym gwałtownym sapnięciu. Nie wypuścił noża z ręki. Starke odtoczył się. Mały człowieczek nie miał z nim żadnych szans. Był twardy i szybki, ale pokonała go czysta siła Starke'a. Starke pamiętał jeszcze czasy, kiedy Romna wcale nie wydawałby mu się taki mały. Uderzył barda pięścią w szczękę. Głowa Romny trzasnęła głośno o skałę. Wypuścił nóż. Wyglądało na to, że było po walce. Starke wstał. Był spocony i ciężko oddychał, ale nie z powodu wysiłku. Usta miał błyszczące od śliny i wyszczerzone, jak u psa. Mięśnie mu drżały, a żołądek zwijał się w gorący węzeł z emocji. Jego żółte oczy przybrały dziwny wygląd.

Wrócił do Beudag.

Leżała na czarnej skale, na plecach. Blask świecy rozlewał się bladym złotem na jej brązowej skórze, uwydatniając puste miejsca między piersiami i pod łukiem dolnych żeber klatki piersiowej. Starke klęknął w poprzek jej ciała i jego waga zdusiła jej ochrypły oddech. Patrzył na nią. Pot wystąpił mu na twarzy. Ponownie złapał jej gardło swymi dłońmi.

Patrzył, jak krew ciemnieje jej coraz bardziej na policzkach. Patrzył jak żyły występują jej na czole. Patrzył jak czerwień jej warg coraz bardziej sinieje. Walczyła odrobinę, bardzo słabo, jak ktoś poruszający się we śnie. Starke oddychał ochryple, jak zwierzę, przez otwarte usta.

Wtedy jednak, stopniowo jego ciało zaczęło robić się sztywne. Ręce mu znieruchomiały, nie zwalniając nacisku, ale również i nie zwiększając go. Jego żółte oczy rozszerzyły się. Wydawało mu się, jakby próbował dostrzec twarz Beudag, a ona skryła się w gęstych chmurach.

Za jego plecami, w głębi tunelu rozległo się cichutkie, delikatne szuranie sandałów o nierówną skałę. Sandałów, idących bardzo powoli. Starke nie słyszał go. Twarz Beudag zamigotała mu głęboko w rozciągającej się pod nim gęstej mgle, potworna karykatura twarzy, zniekształcona, posiniała.

Dłonie Starke'a zaczęły się otwierać.

Potem z wolna otworzyły się bardziej. Mięśnie na rękach i ramionach wystąpiły mu jak skręcone liny, tak jakby walczył nimi z jakimś ogromnym ciężarem. Wargi cofnęły mu się z zębów. Skłonił szyję i pot zaczął skapywać mu z twarzy, połyskując na piersi Beudag.

Starke teraz ledwie już dotykał szyi Beudag. Zaczęła znowu oddychać, z bólem.

Starke zaczął się śmiać. To nie był przyjemny śmiech.

— Rann! — wyszeptał. — Rann, ty diablico! — Na wpół upadł, odsuwając się od Beudag, i wstał przytrzymując się ściany. Wstrząsały nim gwałtowne dreszcze. — Nie chciałem użyć twojej nienawiści do zabijania, a więc spróbowałaś użyć mojej pasji.

Przeklął ją monotonnym, syczącym szeptem. W całym swoim podłym życiu nigdy jeszcze nikogo tak naprawdę nie przeklinał.

Usłyszał echo śmiechu, tańczące mu w mózgu.

Starke odwrócił się. W wejściu tunelu stał Faolan ze Statków. Głowę miał przechyloną, nasłuchując, a jego ślepe oczy utkwione były przez cały czas w Starke'u, tak jakby go widział.

Faolan powiedział miękko:

— Słyszę cię, Starke. Słyszę też oddechy pozostałych, ale oni się nie odzywają.

— Wszystko z nimi w porządku. Nie miałem zamiaru zrobić…

Faolan uśmiechnął się. Wyszedł na wąski występ. Wiedział dokąd idzie, a jego uśmiech nie był przyjemny.

— Usłyszałem wasze kroki w korytarzu koło mojego pokoju. Wiedziałem, że prowadzi was Beudag, wiedziałem gdzie i dlaczego. Byłbym tutaj już wcześniej, ale w ciemnościach to powolna droga.

Na jego drodze stała świeca. Poczuł jej gorąco koło nogi, zatrzymał się i przewrócił ją, a potem przydepnął. Zrobiło się ciemno. Zupełnie ciemno, poza leciutką rozmazaną poświatą dolatującą z kawałka oceanu, ciągnącego się wzdłuż dna jaskini.

— Ale to nie ma znaczenia — dodał Faolan, — ponieważ dotarłem tutaj na czas.

Starke ostrożnie przesunął ciężar swego ciała.

— Faolanie…

— Chciałem dopaść cię osobiście. Tej nocy wszystkich nocy, chciałem dopaść cię osobiście. Teraz Beudag musi walczyć zamiast mnie, Conanie. Moja męskość wymaga potwierdzenia.

Starke wytężył oczy w mroku, mierząc wzrokiem występ, mierząc miejsce w którym zacumowana była łódka. Nie chciał walczyć z Faolanem. Na miejscu Faolana czułby dokładnie to samo. Starke doskonale go rozumiał. Nie czuł nienawiści do Faolana, nie chciał go zabijać, a obawiał się mocy Rann, kiedy przejmą nad nim kontrolę emocje. Człowiek nie może powstrzymać zdeterminowanego człowieka usiłującego go zabić, nie angażując się w to emocjonalnie. Starke'a prędzej wzięliby diabli, niżby zabił kogoś dla korzyści Rann.

Starke ruszył po cichu, próbując prześlizgnąć się koło Faolana po zewnętrznej, i dostać się do łodzi. Faolan nie zdradzał żadnych oznak, że go słyszy. Starke wstrzymał oddech. Jego sandały opadały lżej, niż płatki śniegu. Faolan nie zmieniał kierunku. Powinien minąć się ze Starkem, o stopę. Stanęli pierś w pierś.

Ręka Faolana wystrzeliła w jego stronę i chwyciła długie, czarne włosy Starke'a. Ślepy mężczyzna zaśmiał się miękko i pochwycił go w ramiona.

Starke wykręcił się na podłodze. Jeśli zrobi to szybko, wyrwie się na wolność. Ale Faolan także był szybki. Zmniejszył dystans tak błyskawicznie, że pięść Starke'a ześlizgnęła się mu nieszkodliwie po żebrach. Był większy niż Starke, cięższy, a ciemności mu nie przeszkadzały.

Starke obnażył zęby. Zrób to szybko, bracie i wyrwij się stąd! Inaczej ta zielonooka kocica… Masa ciała Faolana przycisnęła go do ziemi. Ramię Faolana miażdżyło mu szyję. Pięść Faolana wybijała mu wnętrzności z brzucha. Starke się wściekł.

Walczył w wielu miejscach. Uczył się od palaczy i włóczęgów. marsjańskich Dolnych-Kanalarzy, czerwonookich Nahali w rynsztokach Lhi. Nie skorzystał ze swojego noża. Użył kolan, stóp, łokci i dłoni – zarówno zaciśniętych w pięść, jak i na płask. To była zacięta walka. Faolan był dobrym wojownikiem, ale Starke znał więcej sztuczek.

Jeszcze jeden, pomyślał Starke. Jeszcze jeden i go załatwi. Cofnął się, żeby zadać cios i jego pięta trafiła na leżącego na skalnej podłodze Romnę. Potknął się i Faolan trafił go czystym sierpowym. Starke poleciał do tyłu, na ścianę jaskini. Jego głowa walnęła o skałę. Przez głowę przeleciała mu fala purpurowego światła, a potem zbladła i robiła się coraz zimniejsza, jak powódź srebrzysto-zielonej wody. Zatonął pod nią…

Był zmęczony, rozpaczliwie zmęczony. Głowa pulsowała mu bólem. Pragnął odpocząć, ale czuł że siedzi i robi coś co trzeba było zrobić. Otworzył oczy.

Siedział na rufie łodzi. Długie wiosło włożone było w dulkę i zaparte jak uchwyt steru o jego ciało. Pióro wiosła zanurzało się za rufą w czerwonym morzu, a w miejscu w którym jego metal dotykał wody, widać było buchający strumień srebrnego ognia i wir jaskrawych plamek. Łódka poruszała się szybko przez ponurą mgłę, w gorącej wenusjańskiej nocy.

Beudag przykucnęła na dziobie, twarzą do Starke'a. Była solidnie związana paskami z białego materiału, który miała na sobie. Na jej gardle widać było ciemne siniaki. Obserwowała Starke'a skupionym, uważnym, kompletnie pozbawionym wyrazu wzrokiem tygrysicy.

Starke rozejrzał się i popatrzył po sobie. Na jego kilcie była krew, na klatce piersiowej także brązowe brudne maźnięcie. To nie była jego krew. Wyciągnął powoli nóż z pochwy. Ostrze było brudne i zaskorupiałe, ciągle jeszcze odrobinę wilgotne.

Starke popatrzył na Beudag. Czuł że ma suche, obrzmiałe wargi. Zwilżył je i zapytał ochrypłym głosem:

— Co się stało?

Pokręciła głową, powoli, nie odzywając się. Jej spojrzenie nawet nie drgnęło.

Czarna, zimna wściekłość ogarnęła Starke'a, wstrząsając nim. Rann! Wstał i podszedł na przód, pozwalając upaść wiosłu gdzie popadnie. Zaczął rozwiązywać nadgarstki Beudag.

Z czerwonej mgły wychynął w ich stronę jakiś kształt. Długi statek z dwoma ciężkimi wiosłami buchającymi ogniem za rufą i smukłym galionem o kobiecym kształcie. Kobiety o włosach i oczach w kolorze akwamarynu. Stanął burta w burtę z łodzią.

Rozwinęła się rzucona w dół drabinka sznurowa. Wzdłuż niskiego relingu ustawili się szeregiem ludzie. Smukli mężczyźni, błyszczący jak przyprószeni śniegiem, z włosami koloru odległych płycizn morskich. Jeden z nich powiedział:

— Wejdź na pokład, Hughu Starke.

Starke rzucił się z powrotem do wiosła. Wbił je w wodę, rzucając łódkę szybkim łukiem dalej od statku Rann.

Poleciały haki, zaczepiając łódź za ławkę dla wioślarza i okrężnicę. W rękach ludzi pojawiły się łuki, groźnie wyglądające zakrzywione przedmioty, z kolczastymi metalowymi prętami na cięciwach. Człowiek powiedział ponownie, uprzejmym tonem:

— Wejdź na pokład.

Hugh Starke spokojnie dokończył rozwiązywanie Beudag. Nie odzywał się. Wydawało mu się, że nie ma nic co można by powiedzieć. Stanął przez chwilę z tyłu, czekając aż Beudag wespnie się po drabince, a potem ruszył za nią. Łódka została puszczona luzem. Długi statek odpłynął od niej, nabierając prędkości.

Starke zapytał:

— Dokąd płyniemy?

Człowiek uśmiechnął się:

— Do Falgi.

Starke skinął głową. Poszedł za Beudag do kabiny z miękkimi leżankami, pokrytymi cienkim jak pajęczyna jedwabiem i panelami z

ciemnego drewna, pięknie malowanymi w jakieś nieznane mu sceny z przeszłości ludu Rann. Usiedli naprzeciw siebie. Nadal nic nie mówili.

Wpłynęli do Falgi razem z opalowym świtem. Była to cytadela stworzona z bazaltowych klifów, wznoszących się pionowo z płonącego morza, z długim ramieniem skalnym otaczającym port pełen statków. W głębi lądu widać było zielone pola, a za nimi strzelały w kosmos, otoczone wiecznymi mgłami Wenus, Góry White Cloud. Starke żałował, że w ogóle kiedykolwiek ujrzał je na oczy. Potem, popatrzywszy na swoje ręce, szczupłe i silne, na swoje długie uda, nie był już taki pewien tego. Pomyślał o Rann, czekającej na niego. Gniew, ekscytacja, fala skłębionych emocji, spowodowały, że zaczął nerwowo krążyć po pomieszczeniu.

Beudag siedziała spokojnie, wycofana, oczekująca.

Długi statek przebił się przez zatłoczone cumowiska i wślizgnął się na miejsce koło kamiennego nabrzeża. Podbiegli ludzie, żeby go zamocować. Były to istoty ludzkie, przynajmniej tak jak Starke oceniał ludzi, podobne do Beudag i jego samego. Mieli migocące srebrem włosy i piękną skórę lodzi z płaskowyżu, ładnie rzeźbione twarze i proste ciała. Ale także nosili skórzane obroże z metalowymi znacznikami, chodzili nago jak zwierzęta i byli widocznie wychudzeni oraz przygarbieni wyczerpującą pracą. Ponad rojącymi się masami niewolników, tu i ówdzie stał jak bóg człowiek z bladozielonymi włosami ubrany w świecącą uprząż.

Starke i Beudag zeszli na brzeg. Otoczonych przez eskortę ze statku, można by ich uznać za więźniów, albo za honorowych gości. Ulice biegły od portu, wijąc się i szaleńczo wspinając na nadmorskie klify. Domy wspinały się również, jeden na plecach drugiego. Zaczął padać deszcz, mocna, przesiąknięta parą wodną ulewa, typowa dla Wenus, zaś mokre gorące powietrze niosło ze sobą w górę duszący smród ludzi, zbyt wielu ludzi.

Szli pod górę w głębokiej po kostki wodzie, spływającej w dół ulicami, na wpół przypominającymi schody. Ze stojących wzdłuż wąskich alejek domów, wyglądały nagie dzieci. Dwukrotnie przechodzili przez targowiska, gdzie kobiety z pustymi przegranymi twarzami odsuwały się do tyłu od kramów z prostym jedzeniem, żeby pozwolić grupie na przejście.

Coś tutaj było nie tak. Po chwili Starke zrozumiał, że chodzi o ciszę. W całej tej ludzkiej hordzie, nikt się nie śmiał, nie śpiewał, ani nie krzyczał. Nawet dzieci nigdy nie mówiły głośniej niż szeptem. Starke zaczynał czuć lekkie mdłości. Ich oczy miały w sobie taki wygląd…

Rzucił przelotne spojrzenie na Beudag, a potem skierował je ponownie na otoczenie.

Ulice prowadzące od strony nabrzeża, kończyły się na pionowej bazaltowej ścianie, całej poprzecinanej galeriami. Grupa Starke’a weszła do jednej z nich, ciągle idąc pod górę. Pokonywali poziom za poziomem, ogromne pieczary otwarte na morze. Panował w nich talki sam ścisk, taki sam smród i taka sama cisza. Oczy błyszczały w półmroku, gołe stopy

poruszały się ukradkowo po kamiennym podłożu. Gdzieś jakieś dziecko zakrzyczało cienkim głosem, i natychmiast zostało uciszone.

Wyszli na szczycie skalnej ściany, wychodząc na czyste na tej wysokości powietrze. Na górze również było miasto. Szerokie ulice, z rzędami drzew, niskie rozłożyste wille z czarnej skały, stojące w otoczonych murem ogrodach, tonące we wspaniałych pnączach, gigantycznych paprociach i kwiatach. Nadzy mężczyźni i kobiety pracowali w ogrodach, ciągnęli po alejach wózki ze śmieciami lub biegali na posyłki, przemykając ukradkowo przez główne aleje, w miejscach gdzie przecinały je mniejsze uliczki.

Grupa odeszła od morza, kierując się w stronę hebanowego pałacu, który rozsiadał się ponad miastem, jak jego zwieńczenie. Parujący deszcz uderzał w nagie ciało Starke'a, i tu na górze można było wyczuć woń deszczu, nawet przez ciężkie aromaty kwiatów. Czuło się tutaj zapach Wenus w deszczu – pachnącej piżmem, prymitywnością i szaloną żywotnością, tytanki płodności z kwiatami passiflory w wyciągniętych dłoniach. Starke stawiał stopy jak pantera, a jego oczy płonęły przydymionym bursztynem.

Weszli do pałacu Rann…

Przyjęła ich w tym samym apartamencie, w którym Starke przebywał po wypadku. Przez szerokie arkady można było dostrzec wysokie łoże, na którym jego stare ciało leżało, zanim uszło z niego życie. Na zewnątrz czerwone morze parowało pod strugami deszczu, unosząca się z niego rdzawa mgła wpadała powoli wijącymi się smużkami przez otwarte łuki galerii. Rann obserwowała ich leniwie z wysokiej leżanki wystającej ze ściany. Jej długie, skrzące się nogi wyciągały się arogancko na czarnych, delikatnych jak pajęcze sieci jedwabnych draperiach. Tym razem jej tunika była bladożółta. Oczy Wenusjanki nadal miały kolor płytkiej wody, nadal były rozbawione, nadal tajemnicze, nadal niebezpieczne.

Starke stwierdził:

— A więc, mimo wszystko, udało ci się zmusić mnie do tego, abym to zrobił.

— A ty jesteś rozgniewany.

Roześmiała się, zęby miała białe i spiczaste jak kościane igiełki. Jej spojrzenie napotkało wzrok Starke'a. Nie było w tym nic przypadkowego. Jastrzębie oczy Starke'a zrobiły się intensywnie żółte i jego spojrzenie nie zadrżało pod jej wzrokiem.

Beudag stała jak brązowa włócznia, z rękoma skrzyżowanymi pod nagimi, ostrymi piersiami. Dwóch strażników pałacowych Rann stało za nią.

Starke zaczął przesuwać się w stronę Rann.

Przyglądała się jak podchodzi. Pozwoliła mu zbliżyć się na tyle, aby mógł wyciągnąć rękę i jej dotknąć, a potem chytrze rzuciła:

— To dobre ciało, nieprawdaż?

Starke patrzył na nią przez chwilę. Potem się roześmiał. Odrzucił do tyłu głowę, zaryczał i uderzył się pięścią w potężne sploty mięśni na brzuchu. Po chwili popatrzył prosto w oczy Rann i powiedział:

— Znam cię.

Skinęła głową.

— Oboje znamy siebie nawzajem. Usiądź, Hughu Starke.

Przesunęła swe długie nogi, aby zrobić mu miejsce, teraz na wpół wyprostowana, spoglądając na Beudag. Starke usiadł. Omijał Beudag wzrokiem.

Rann spytała ją:

— Czy twoi rodacy teraz się poddadzą?

Beudag nie poruszyła się, nawet jej powieka nie drgnęła.

— Jeśli Faolan nie żyje – tak.

— A jeśli żyje?

Beudag zesztywniała. Starke również.

— Wtedy — odparła Beudag cichym głosem — będą czekali.

— Dopóki nie umrze?

— Albo dopóki nie będą musieli się poddać.

Rann skinęła głową. Poleciła strażnikowi:

— Dopilnujcie, żeby ta kobieta została nakarmiona i była dobrze traktowana.

Beudag i jej strażnicy odwrócili się żeby odejść, kiedy odezwał się Starke.

— Poczekajcie.

Strażnicy spojrzeli na Rann, która skinęła głową i popatrzyła zaintrygowana na Starke'a. Ten spytał:

— Czy Faolan nie żyje?

Rann zawahała się. Potem się uśmiechnęła.

— Nie. Masz cholernie twardy umysł, Starke. Pchnąłeś go głęboko, ale niewystarczająco głęboko. Ciągle może jeszcze umrzeć, ale… Nie, nie umarł. — Odwróciła się do Beudag i powiedziała z jawną kpiną: — Nie musisz hodować dalej swego gniewu na Starke'a. To ja jestem osobą, na którą powinnaś się gniewać. — Jej oczy przesunęły się z powrotem na Starke'a. Nie wyglądały na rozgniewane.

Starke naciskał dalej.

— Jest jeszcze coś innego. Conan – Ten Conan który był wcześniej, przed Falgą.

— Conan Beudag.

— Tak. Dlaczego zdradził swoich rodaków?

Ran spoglądała na niego badawczo. Jej dziwne blade wargi zakrzywiły się, a ostre białe zęby błysnęły złowrogo najeżonym humorem. Odwróciła się do Beudag. Beudag ciągle stała jak wyrzeźbiona z granitu, ale jej gładkie mięśnie zesztywniały z napięcia, a oczy nie były już oczyma posągu.

— Conan, czy Starke — stwierdziła Rann, — nadal ich wybranką jest Beudag, nieprawdaż? No dobrze, powiem wam. Conan zdradził swój lud, ponieważ to ja zmusiłam do tego jego umysł. Walczył ze mną. To była

naprawdę dobra walka. Ale nie był nawet w części tak twardy jak ty, Starke.

Zapanowało milczenie. Po raz pierwszy od czasu wejścia do pomieszczenia Starke popatrzył na Beudag. Po chwili westchnęła, uniosła podbródek i uśmiechnęła się, głębokim, nieznacznym uśmiechem. U jej boku kroczyli strażnicy, ale to ona szła bardziej wyprostowana i lżejszym krokiem niż oni.

— No dobrze — powiedziała Rann, kiedy odeszli, — a co z tobą, Hughu-Starke-zwany-Conanem.

— Czy mam jakiś wybór?

— Ja zawsze dotrzymuję danego słowa.

— A więc daj mi moją dolę i wypuść mnie stąd do wszystkich diabłów.

— Jesteś pewny, że tego chcesz?

— Tak, tego właśnie chcę.

— Mógłbyś zostać tu trochę, wiesz.

— Z tobą?

Rann uniosła swe lodowato białe ramiona.

— Nie obiecuję ci połowy królestwa, ani nawet żadnej jego części. Ale mógłbyś mieć trochę zabawy.

— Nie mam poczucia humoru.

— I nawet nie chcesz wiedzieć co się stanie z Crom Dhu?

— I z Beudag.

— I z Beudag.

Stanął bez ruchu i zmierzył Rann spojrzeniem bezkompromisowych żółtych oczu.

— Nie. Nie z Beudag. Co masz zamiar z nią zrobić?

— Nic.

— Nie musisz mi tego obiecywać.

— Powiem jeszcze raz, nic. Cokolwiek się z nią stanie, zrobią to jej właśni rodacy.

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem przez to, że nasz mały Sztylecik-w-Pochwie odrobinę odpocznie, zadbamy o nią, trochę odkarmimy, przez parę dni. Potem każę zabrać ją na mój własny statek i dołączymy do floty pod Crom Dhu. Beudag będzie miała całkiem wygodne miejsce na szczycie masztu, gdzie jej rodacy będą mogli ją wyraźnie zobaczyć. Zostanie tam do czasu kiedy Skała się podda. To już zależy od jej rodaków, jak długo to potrwa. Będzie dostawała wodę. Nie za wiele, ale wystarczająco.

Starke wpatrywał się w nią. Wpatrywał się w nią przez długi czas. Potem celowo splunął na podłogę i zapytał idealnie obojętnym głosem:

— Jak szybko mogę się stąd wydostać?

Rann zaśmiała się, był to lekki swobodny chichot.

— Ludzie — stwierdziła — są tak cholernie dziwni. Nie wydaje mi się, abym zdołała ich kiedykolwiek zrozumieć.

Wyciągnęła rękę i uderzyła w gong, który wisiał w rzeźbionej ramie koło leżanki. Miękka, głęboka, dźwięczna nuta, miała w sobie odrobinę nostalgii. Rann opadła z powrotem na jedwabne poduszki i westchnęła.

— Żegnaj, Hughu Starke.

Przerwa. A potem dodała z żalem:
— Żegnaj – Conanie.

Podróż wokół obrzeży Czerwonego Morza była całkiem przyjemna. Jedna z galer Rann zabrała ich na krawędź Oceanu Południowego i wysadziła na wąskiej plaży pod skalnymi klifami. Stamtąd wspięli się na skały i dalej już poszli pieszo – Hugh-Starke-zwany-Conanem i czterech aroganckich błyszczących ludzi Rann. Mieli być jego przewodnikami i eskortą. Byli grzeczni i bez słowa skargi utrzymywali jego tempo wędrówki, chociaż Starke maszerował tak, jakby sam szatan następował im na pięty. Ale to oni byli uzbrojeni, a Starke nie.

Czasami, bardzo leciutko, Starke wyczuwał umysł Rann dotykający jego myśli z aksamitną delikatnością kociej łapy. Czasami podrywał się ze snu z jej obrazem rysującym mu się ostro w pamięci, na wargach tańczył jej drwiący, tajemniczy uśmieszek. Nie podobało mu się to. Zupełnie mu się to nie podobało.

Ale jeszcze bardziej mu się nie podobał obraz który stał mu przed oczyma, na jawie i we śnie. Obraz, którego wolałby nie oglądać. Obraz wysokiej kobiety, z włosami jak żywy ogień wokół szyi, idącej lekkim, dumnym krokiem pomiędzy swymi strażnikami.

Będzie dostawała wodę. Nie za wiele, ale wystarczająco.

Starke przytrzymał mocniej solidny kanciasty kształt kasetki, która zawierała w środku jego milion kredytów, i pozwolił, aby kolejne mile uciekały w tył pod jego sandałami.

Piątej nocy, jeden z ludzi Rann oznajmił spokojnie ponad obozowym ogniskiem:

— Jutro — powiedział — dotrzemy do przejścia.

Starke wstał i odszedł samotnie nad krawędź obręczy skalnej, opadającej pionowo w dół, do płonącego morza. Usiadł tam. Czerwona mgła otoczyła go jak opary krwi. Pomyślał o krwi na piersi Beudag, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył. Pomyślał o krwi na ostrzu swego noża, zaskorupiałej i wyschniętej. Pomyślał o krwi, cuchnącej i dymiącej, spływającej do rynsztoków Crom Dhu. Ta mgła musiała być czerwona, stwierdził. Ze wszystkich cholernych kolorów tego wszechświata, musiała być czerwona. Czerwona, jak włosy Beudag.

Wyciągnął do przodu dłonie i popatrzył na nie, ponieważ ciągle jeszcze czuł na swojej skórze jedwabiste ciepło tych włosów. Teraz nie było na nich niczego, poza starymi białymi bliznami bitew innego człowieka.

Przycisnął zaciśnięte pięści do skroni i pożałował, że nie może mieć z powrotem swego dawnego ciała – malutka, drobniutka odrzucona myśl, która przedarła się wyszarpując sobie drogę pazurami, przez wszystkie moce jego umysłu. Najbardziej cholernego, twardego umysłu, jak twierdziła Rann. Taaa. Kiedyś musiał być twardy. Ale umysł, to umysł. Nie posiadał emocji. Tylko wyliczał sobie coś na chłodno a potem szedł w tym kierunku, nigdy nie zadając sobie pytań, i kontrolując w pełni ciało, ponieważ ciało było tylko bezwartościową maszynerią, noszącą w środku

umysł. Bezwartościową. Taaa. Parę kobiet, na które kiedykolwiek spojrzał, tak właśnie mu powiedziało – a on się nad tym zbyt wiele nie zastanawiał. Dawne ciało nie sprawiało mu żadnych kłopotów.

Ale miał kłopoty teraz.

Starke wstał i odszedł stamtąd.

Jutro dotrzemy do przejścia.

Jutro odejdziemy znad Czerwonego Morza. Jest jeszcze dziewięć planet i cały przeklęty Pas. Wszędzie tam jest pełno kobiet. Wszystkich kształtów, kolorów i rozmiarów, ludzkie, półludzkie i Bóg wie jakie. Mając milion kredytów, facet mógłby kupić połowę z nich, a mając ciało Conana, mógłby kupić całą resztę. Poza tym, czymże jest kobieta? Tylko…

Woda. Będzie dostawała wodę. Nie za wiele, ale wystarczająco.

Conan wyciągnął rękę i złapał za skalną iglicę, a mięśnie wystąpiły mu jak powęźlone liny.

— O, Boże! — wyszeptał. — Co się ze mną dzieje?

Miłość.

To nie Bóg mu odpowiedział. To była Rann. Widział ją wyraźnie w swym umyśle, słyszał jej głos, dźwięczny jak srebrny dzwon.

— Conan był prawdziwym mężczyzną, Hughu Starke. Był całością, ciałem, sercem i mózgiem. Wiedział jak kochać, a u jego boku nie była tak po prostu kobieta, ale ta jedyna kobieta – a jej imię brzmiało Beudag. Złamałam go, lecz to nie było łatwe. Ciebie nie mogę złamać.

Starke stał przez długi, długi czas. Nie ruszał się, najwyżej lekko drżał. Potem wyjął zza pasa kasetkę zawierającą jego milion kredytów i cisnął nią, tak daleko jak tylko był w stanie, ponad krawędzią skalnej ściany. Czerwona mgła połknęła ją bez śladu. Nie słyszał, żeby uderzyła o powierzchnię morza. Być może w tym morzu nie istnieje coś takiego jak plusk. Nie czekał, żeby się o tym przekonać.

Zawrócił wzdłuż skalnego obrzeża w stronę miejsca, w którym pamiętał, że była rozpadlina, komin prowadzący w dół. A czterech błyszczących mężczyzn, noszących na sobie uprząż Rann, wyszło w milczeniu z głuchej rozświetlonej nocy i otoczyło go pierścieniem. Ostrza ich mieczy odbijały ostre, czerwone błyski z nieba.

Starke nie miał na sobie niczego, poza kiltem, sandałami i płaszczem z grubo utkanego pajęczego jedwabiu, który chronił go przed deszczem.

— Przysłała was Rann? — spytał.

Mężczyźni skinęli głowami.

— Żeby mnie zabić?

Skinęli ponownie. Krew odpłynęła Starke'owi z twarzy, czyniąc ją szarą i kamienną pod brązem opalenizny. Jego dłoń powędrowała do szyi, zamykając się na złotej zapince, utrzymującej płaszcz.

Czterech mężczyzn, zbliżało się do niego, lekko jak tancerze.

Starke odpiął płaszcz i smagnął nim jak biczem, przez twarze atakujących. Atak zmieszał ich na sekundę, na jedno uderzenie serca – nie więcej, ale to wystarczyło. Starke pozwolił by ostrza dwóch z nich,

zaplątały się w ciężkiej tkaninie i odskoczył na bok. Ostra klinga prześlizgnęła mu się po żebrach, obrócona na płask. Potem schylił się nisko i złapał jednego z ludzi za nogi, wokół kostek, a następnie użył jego przewracającego się ciała jako maczugi.

Ciało napastnika było dziwnie lekkie, tak jakby kości w jego wnętrzu były tylko sztywnymi membranami, jak u ryby.

Gdyby został tam i walczył z nimi dalej, wykończyliby go w ciągu kilku sekund. To byli wojownicy, bardzo szybcy. Ale Starke nie czekał. Zyskał tylko moment oddechu i wykorzystał go. Nieustępliwie następowali mu na pięty, ich ostrza niemalże kłuły go w plecy podczas biegu, ale udało mu się im wyrwać. Popędził wzdłuż skalnego obrzeża, dalej wąskim językiem wystającym ponad morze, aż w końcu rzucił się przed siebie, jak najdalej, w czerwoną mgłę i przyćmiony ogień, który otoczył jego spadające ciało.

O Boże, pomyślał sobie, jeśli źle wybrałem i pod skałą jest w tym miejscu jakaś plaża…

Oddech rozrywał mu płuca. W uszach trzeszczało i przestał cokolwiek słyszeć. Złożył ramiona przed głową, z dociśniętymi mocno palcami i usztywnił kark, oczekując na straszliwe pchnięcie w górę. Uderzył w powierzchnię morza.

Nie było plusku.

Przyćmione, unoszące się koliście smugi ognia, dryfowały wokół niego z nieskończoną opieszałością, pieszcząc jego skórę powolnymi, mrowiącymi iskierkami. Uczucie lekkości, jakby jego ciało stało się jednością z unoszącym się ogniem. Uczucie duszenia, nie mające oparcia w faktach, i stopniowo słabnące, zmieniające się w dziwne ożywienie. Nie czuł wstrząsu uderzenia, ani miażdżącego ciśnienia. Tylko elastyczna miękkość, jak przy upadaniu na łóżko wypełnione ściśniętym powietrzem. Starke czuł, że obraca się góra dół, jak wiatraczek, a potem zatrzymał się, opadając spokojnie i bez pośpiechu na dno.

Albo raczej w krystaliczne górne partie, czegoś co wyglądało jak las.

Widział jak rozprzestrzenia się on po opadających w dół zboczach dna oceanu, rozmywając się w czerwonych mrokach odległości. Smukłe fantastyczne pnie, podtrzymujące labirynt delikatnych lśniących gałęzi, pozbawionych liści, czy owoców. Wyglądały jak drzewa cudownie wytopione z lodu, przezroczyste, utrzymujące w sobie łagodne, przemieszczające się ognie tego dziwnego morza. Starke nie sądził, by tak było naprawdę, ani że były one w ogóle żywe. Bardziej podobne do korali, pomyślał, albo jakichś fantazyjnych wytworów mineralnych. A jednak, piękne. Jak coś, co można ujrzeć we śnie. Piękne, ciche, i jakoś śmiertelnie niebezpieczne.

Nie potrafił wyjaśnić tego poczucia śmiertelnego zagrożenia. W czerwonych piaskach między pniami nic się nie poruszało. Nie było to również nic związanego z samymi drzewami. Po prostu to czuł.

Zaczął przesuwać się pomiędzy górnymi gałęziami, podążając za opadającym skłonem zbocza.

Stwierdził, że może całkiem swobodnie pływać. Albo raczej przypominało to latanie. Gęsty gaz unosił go w górę, niemal równoważąc ciężar jego ciała, tak że łatwo było przeskakiwać, chwytając kryształowe

gałęzie i używając ich jako dźwigni do wyrzucenia się naprzód, w stronę następnych.

Zanurzał się coraz głębiej i głębiej, w serce nieznanego Południowego Oceanu. Nic się nie poruszało. Bajkowy las rozciągał się przed nim bez granic. A Starke się bał.

Do jego umysłu raptownie wdarła się Rann. Jej twarz, ostro rysująca się w jego myślach, pełna była drwiny.

— Będę się przyglądała, jak umierasz, Hughu-Starke-zwany-Conanem. Ale zanim umrzesz, coś ci jeszcze pokażę. Patrz.

Jej twarz rozmyła się, a w jej miejsce pojawiło się Crom Dhu, wznoszące się posępnie w czerwonej mgle, z długimi statkami zniszczonymi lub zatopionymi w porcie i flotą Rann otaczającą je lśniącym kręgiem.

Jeden statek w szczególności. Okręt flagowy. Wizja w umyśle Starke'a pomknęła w jego kierunku, zawężając się jednocześnie do platformy na szczycie masztu. Do kobiety, która stała na niej naga, wyprostowana, z ciałem ciasno związanym okrutnymi cienkimi sznurami.

Kobiety z rudymi włosami, unoszącymi się na wolnym wietrze, i niebieskimi oczami które wpatrzone były przed siebie, sokolim wzrokiem, prosto w Crom Dhu.

Beudag.

Przez obraz przebiegł śmiech Rann i rozmazał go jak zmarszczka lodowato zimnej wody.

— Lepiej byś zrobił — powiedziała — biorąc czystą stal, kiedy ci ją oferowałam.

Zniknęła, a umysł Starke'a pozostał pusty i zimny, jak umysł trupa. Stwierdził, że stoi bez ruchu, trzymając się gałęzi, z twarzą skierowaną w górę, tak jakby dzięki jakiemuś ślepemu instynktowi, a wzrok mu się rozmywał.

Nigdy przedtem w całym swym życiu nie płakał, ani się nie modlił.

Tam w dole, w przydymionych cieniach morskiego dna, nie istniało coś takiego jak czas. Mogły minąć minuty, albo godziny, zanim Hugh Starke zorientował się, że jest ścigany.

Były to trzy stworzenia, prześlizgujące się z łatwością pomiędzy lśniącymi gałęziami. Miały bladozłoty kolor, niemalże fosforyzujący, i rozmiary mniej więcej dużego psa myśliwskiego. Na ich szczupłych, ostrych pyskach świeciły jak klejnoty ogromne oczy. Stworzenia posiadały cztery członki, służące im prawdopodobnie jako nogi lub ręce, teraz trzymały je wyciągnięte za sobą i przyciśnięte do swych zwężających się ku tyłowi ciał. Między głową i bokiem miały składane, podobne do skrzydeł, złote błony, którymi mogły poruszać jak skrzydłami, balansując idealnie odepchnięcia płaskich, potężnych ogonów.

Mogłyby bez trudu go dogonić, ale nie zdawały się okazywać żadnych oznak pośpiechu. Starke wykazał na tyle dużo zdrowego rozsądku, żeby nie męczyć się, próbując im uciec. Nadal poruszał się do przodu, uważnie

je obserwując. Odkrył, że kryształowe gałęzie można ułamać, i wybrał sobie jedną z nich, z ostrą, rozwidloną końcówką, wsadzając ją za pas, jak miecz. Nie przypuszczał, żeby mu się do czegoś specjalnie przydała, ale pozwoliło mu to poczuć się pewniej.

Zastanawiał się, dlaczego te stwory, po prostu nie rzuciły się na niego i nie skończyły całej sprawy. Wyglądały na dosyć głodne, sądząc po sposobie, w jaki szczerzyły na niego zęby. Ale trzymały się mniej więcej w tej samej odległości, tworząc coś w rodzaju półksiężyca i często jeden z tych znajdujących się na skraju, wykonywał rozpoznawczą szarżę w jego kierunku, rezygnując z niej natychmiast, kiedy tylko Starke skręcił we właściwym kierunku. Przypominało to nie tyle polowanie, co…

Oczy Starka zwęziły się. Zaczął nagle bać się jeszcze bardziej niż przedtem, chociaż nie wierzył, że to mogło być prawdopodobne.

Te stwory wcale na niego nie polowały. One go zapędzały.

W żaden sposób nie był w stanie nic na to poradzić. Kiedy spróbował się zatrzymać, zbiegły się ze wszystkich stron i kłapały na niego zębami, współpracując doskonale ze sobą, tak że za każdym razem gdy próbował dźgnąć któregoś z nich swoją niezdarną bronią, pozostałe rzucały mu się do pięt, jak owczarki w przypadku opornej owcy.

Tak więc Starke, jak owca, pogodził się z nieuniknionym i zmierzał tam, dokąd go prowadzono. Złote psy, pokazywały zęby w zwierzęcym uśmiechu i węszyły pożądliwie w krwistym strumyku, który zostawiał za sobą, pośród czerwonych smug ognia

Po pewnym czasie, usłyszał muzykę.

Wydawało mu się, że grana jest ona na jakimś instrumencie podobnym do harfy, o dziwnie brzmiących wibrujących tonach. Było to coś zupełnie odmiennego od wszystkiego, co słyszał kiedykolwiek przedtem. Być może gaz, z którego składało się morze, był jakimś nadzwyczaj dobrym przewodnikiem dźwięku, mającym właściwości rozpraszające, sprawiające że muzyka wydawała się dochodzić do jego uszu ze wszystkich stron – początkowo delikatnie, jak we śnie, a potem, gdy bardziej zbliżył się do jej źródła, narastając do poziomu pędzącego, falującego potoku muzyki, która owinęła się wokół jego nerwów z demonicznym dreszczem ekstazy.

Złote psy zaczęły kłapać z podniecenia paszczami, rozsuwać swe lśniące skrzydła, popędzając go niecierpliwie między kryształowymi gałęziami.

Starke czuł narastające drżenie swego ciała – każde włókienko jego mięśni poruszało się w harmonii z nieziemską harfą. Pomyślał sobie, że prawdopodobnie nie był w stanie usłyszeć znacznej części tonów tej muzyki. Za wysokich, za niskich, aby mogły je zarejestrować jego uszy. Jednak jego ciało wyczuwało je bez trudu.

Zaczął poruszać się szybciej, nie z powodu poganiających go psów, ale dlatego że tak chciał. Wibracje jego mięśni, wzbudziły w nim ogromną ekscytację. Zaczął głębiej nabierać powietrza, częściowo na skutek zwiększonego wysiłku, a jakieś właściwości chemiczne mieszanki którą oddychał, powodowały że poczuł lekkie odurzenie.

Rytmiczne dźwięki muzyki harfy uderzyły go i użądliły, budząc w jego sercu głębszą, ciemniejszą muzykę, i nagle zobaczył wyraźnie Beudag –

na wpół okrytą, wyglądającą tak mistycznie w blasku świecy w pałacu Faolana, gładkie wygięte linie kształtów jej brązowego ciała, ogniste włosy rozpuszczone luźno wokół szyi. Przeszła przez niego potężna fala cierpienia. W pewnej chwili wykrzyknął głośno jej imię, ale dźwięki harfy poniosły ten okrzyk w górę, gubiąc go gdzieś w oddali, a po chwili, zupełnie nagle, nie było już żadnej muzyki, nie było lasu, ani niczego poza stygnącym żarem w sercu Starke'a.

Mógł wszystko całkiem wyraźnie sobie obejrzeć, w czasie jaki zabrało mu pokonanie drogi od wierzchołka ostatniego drzewa, do podnóża rozciągającej się przed nim równiny. Nie miał pojęcia, jak długi był to czas. Nie było to ważne. To była jedna z tych chwil, w których czas nie ma żadnego znaczenia.

Brzeg lasu opadał dalej, długą linią, która roztapiała się w oddali, błyszcząc pośród połyskującego skrami morza. Od niego rozciągała się równina, płaskie szkliste łoże czarnego obsydianu, wyplutego z trzewi przez jakiś dawno wygasły wulkan. Na pewno był on wygasły? Starke'owi wydawało się, że światło było tutaj bardziej czerwone, bardziej witalne, tak jakby znajdował się blisko źródła, z którego ono tryskało.

Kiedy patrzył coraz dalej po równinie, światło wydawało się łączyć w migoczącą kurtynę, drgającą jak zasłony cieplne, tańczące w Pasie Brzasku Merkurego w samo południe. Przez jedną krótką chwilę dostrzegł na kurtynie obraz – miasto, czarne, świecące, zwieńczone fantastycznymi wieżyczkami, gigantyczne odbicie marzeń tytana. Potem zniknęło, a uwagę Starke'a przyciągnęło bezpośrednie zagrożenie znajdujące się znacznie bliżej, na pierwszym planie.

Zobaczył przed sobą stado, popędzane przez kolejną gromadę złotych psów. A potem pasterza i spoczywającą w jego dłoniach milczącą harfę.

Stado poruszyło się nieco, fosforyzując.

Stu, dwustu milczących, bezwładnie unoszących się wojowników, dryfowało przez czerwoną mgłę. Poruszali się parami, pojedynczo, w bezwładnych skupiskach. Złote psy oskrzydlały ich w ciszy, spokojnie poruszały się wokół nich, wywołując skrzydłami fale przesuwające ich w stronę fantastycznego hebanowego miasta.

Pasterz stanął na bloku obsydianu, wodząc dokoła swą rekinio-bladą twarzą. Jego ostre, akwamarynowe oczy dostrzegły Starke'a. Srebrzyste dłonie przebiegły przyzywająco przez struny harfy, mocno w nie uderzając. Wzbudzone dźwięki wystrzeliły z instrumentu, trafiły w Starke'a, wstrząsając nim. Wypuścił z rąk trzymany w nich krystaliczny sztylet.

W oczach eksplodowały mu kurtyny gorącego ognia, na bębenkach jego uszu zawirowały i zatańczyły bąbelki. Stracił kontrolę nad wszystkimi mięśniami. Jego ciemnowłosa głowa opadła mu do przodu na gęstą ciemność włosów na piersi. Złote oczy rozmyły się w próżną, bezmyślną żółć, a wargi ust rozluźniły się. Chciał z tym walczyć, ale to nie miało

sensu. Ten pasterz był jednym z ludzi morza, z którymi przecież chciał się spotkać, i w ten czy inny sposób, z nimi się spotka.

Ciemna krew wypełniła jego obolałe oczy. Poczuł, że jest prowadzony, popychany, zmuszany do poruszania się to w jeden sposób, to w drugi. Koło niego prześlizgnął się złoty pies, posyłając mu silne pchnięcie fali, które wtoczyło go w strumień prądu krwioobiegu morza. Popłynął wraz z nim do miejsca w którym stał pasterz, mający jako jedyną broń harfę.

Starke zastanawiał się mgliście, czy inni wojownicy dryfujący w tym stadzie, byli martwi, czy żywi tak jak on. Wtedy przeżył kolejną chwilę zaskoczenia.

Wszyscy pochodzili z ludu Rann. Ludzie z Falgi. Srebrzyści ludzie z jaskrawo zielonymi włosami. Rodacy Rann. Jeden z nich, ogromny wojownik, wyglądający jak upudrowany solą, przepłynął koło niego bez celu, na kolejnej fali. Jego zielone oczy były puste. Wyglądał na martwego.

Jaki interes mieli ludzie morza do martwych wojowników z Falgi? Po co te psy i ten pasterz z harfą? Pytania wirowały jak niesiony wodą piasek w zmęczonej, zwieszonej głowie Starke'a. Wirowały, aż w końcu opadły na dno.

Starke dołączył do pielgrzymki.

Psy przy pomocy zręcznych machnięć skrzydłami, skierowały go do środka prowadzonego stada. Ocierały się o niego ciała. Zimne ciała. Miał ochotę wrzeszczeć. Pęta jego szyi uniemożliwiły mu to. W myślach wykrzyczał z siebie pytanie:

— Czy jesteście żywi, ludzie z Falgi?

Nie było odpowiedzi; tylko potok poznaczonych bliznami, bladych ciał. Ich oczy nie widziały. Zapomnieli o Faldze. Zapomnieli o Rann, dla której wznieśli miecze. Ich bezwładne języki w ustach nie prosiły o nic, tylko o sen. I otrzymały go.

Stu, dwustu silnych wojowników, utworzyło dziwną ludzką rzekę, zmierzającą w kierunku gigantycznych murów miasta. Starke-zwany-Conanem i jego zażarci wrogowie podążali w niej, wspólnie. Kącikiem oka Starke dostrzegł poruszającego się pasterza. Pasterz był podobny do Rann i jej rodaków, którzy lata temu opuścili morze, aby żyć na lądzie. A jednak pasterz wydawał się być zimniejszy, bardziej podobny do ryby. Między szczupłymi palcami jego dłoni widać było małe, prześwitujące siateczki, łączyły one również bardzo długie palce jego stóp. Cienkie, podobne do blizn skrzela skryte w cieniu wąskiego podbródka, unosiły się i zamykały w strumieniu wody, jedząc, przyjmując jakieś substancje odżywcze z czerwonego jak krew morza.

Harfa przemówiła, i złote psy posłuchały jej wezwania. Harfa przemówiła ponownie i ciała wykręciły się niespokojnie, tak jakby w niepokojącym śnie. Jej potrójny akord dotarł prosto do Starke'a. Palce zacisnęły mu się.

— …i umarły będzie ponownie chodził…

Kolejna ironiczna fraza muzyczna:

— …i ludzie Rann powstaną ponownie, tym razem przeciwko niej…

Starke ledwie miał czas, by poczuć krótki, oszałamiający dreszcz, kiedy strumień wody popchnął znowu naprzód. Szalejąc jak opętani, bezmyślnie, wszyscy otaczający go martwi, bezwładni wojownicy z Falgi, próbowali przepchnąć się koło niego, i to wszyscy na raz…

Dawno temu, jakiś potężny morski tytan zamarzył tutaj aleje wykute z czarnego kamienia. Każdy kamień wznosił się na wysokość trzech ludzi. Pojawiło się również marzenie o murach pnących się w górę i w górę, aż rozmyją się one w szkarłatnej mgle. Kolejne marzenie dotyczyło morskich ogrodów, w których ryby wisiały jak egzotyczne kwiaty, na pędach z wrażliwej cienkiej jak błona tkanki. Całe ławice ryb uczepione podstawy ogrodu, jak kolonie kwiatów jaśniejące w blasku słońca. I sporadycznie coś czarnego, ameboidalnego, pieczołowicie wyrywanego, kryjącego się przed ogrodnikiem, zarastającego jakiś bursztynowy kwiat, tu i jakiś ametystowy kwiat, tam.

A morski tytan marzył dalej o niekończących się balustradach, blankach i pozbawionych okien wieżyczkach, po których krążyły jak zjawy jasno białe, świetliste stworzenia, podtrzymując w uniesionych dłoniach zielone pióra włosów i spoglądając z wysoka w dół zaciekawionymi, bezczelnymi oczyma. Kobiety o błyszczących migotliwie ciałach, jak jakieś niesamowite korale zerwane i zamknięte wysoko ponad tymi ulicami z czarnego kamienia, każda w swojej arkadzie.

Starke pozostał sam. Wojownicy z Falgi przeszli przez mroczną, podmorską bramę i zniknęli. Po chwili usłyszał cichy sygnał harfy i znajdujące się za nim złote psy skierowały go do korytarza, prowadzącego do dużego okrągłego pokoju z kamienia, jeden z końców którego otwierał się na wielką salę. Koło hebanowo czarnego sufitu uwijały się ławice smukłych ryb. Wydawany przez nie jasny blask oświetlał całe pomieszczenie, a one żyły tu, rozmnażały się i umierały, tysiące razy.

Harfa przycichła, aż w końcu jej granie zmieniło się tylko w odległy pomruk.

Starke poczuł swe stopy. Wróciły mu siły. Widział dobrze znajdującego się pośrodku sali człowieka. Zbyt dobrze.

Człowiek wisiał w ognistej strudze. Łańcuchy z kutego brązu zwisały z jego chudych, pozbawionych ciała kostek, aby nie mógł uciec. Całe jego ciało tego pragnęło. Wyrywało się do góry.

Już od dawna było martwe. Wzdęte gazami rozkładu, próbowało wypłynąć na powierzchnię Czerwonego Morza. Łańcuchy to uniemożliwiały. Jego ręce powiewały jak białe szale przed bladą twarzą topielca. Czarne włosy unosiły się w górę.

To był jeden z ludzi Faolana. Jeden z Piratów. Jeden z tych, którzy wyruszyli do Falgi, za namową Conana.

Nazywał się Geil.

Starke pamiętał to.

Część jego, która pochodziła od Conana, pamiętała to imię.

Martwe wargi poruszyły się.

— Conan. Co za szczęście! Conan. Witam cię serdecznie.

Słowa były okrutne, a wargi które je wypowiadały obwisłe i martwe. Starkowi zdawało się, że w głębi tych pustych oczu dostrzega gniew i gorycz. Wargi wykrzywiły się ponownie.

— Popłynąłem do Falgi, dla ciebie i Rann, Conanie. Pamiętasz?

Część Starke'a pamiętała i skręciła się w męce.

— My wszyscy tutaj jesteśmy, Conanie. My wszyscy. Clev, Mannt, Bron i Aesur. Pamiętasz Aesura, który potrafił wyginać metalowe sztaby na plecach, ciągnąć je samymi palcami? Aesur jest tutaj, wielki jak morski potwór, czeka w niszy, zimny i obwisły jak kawał sznura. Morscy pasterze zebrali nas wszystkich. Zebrali nas tutaj, ponieważ są mistrzami ironii. Patrz!

Pozbawione kości palce wyciągnęły się falując jakby na wietrze, wskazując na coś za jego plecami.

Starke odwrócił się powoli, a serce waliło mu jak bęben, nierównym, urywanym rytmem. Szczęki zacisnęły mu się, a oczy rozmyły. Ta część niego, która pochodziła od Conana, krzyknęła z bólu. Conan stał się tak bardzo nim, a on stał się tak bardzo Conanem, że niemożliwe było ich rozdzielenie. Wzrastali razem, jak materia perły wokół drobinki piasku, warstwa po warstwie. Starke również więc wykrzyknął.

W sali, na którą wychodziło to okrągłe pomieszczenie, znajdowało się tysiąc ludzi.

Szeregami, po pięćdziesięciu, ramię przy ramieniu, ludzie z Crom Dhu wpatrywali się niewidzącym wzrokiem w Starke'a. Tu i ówdzie twarze były szokująco znajome. Dawne wspomnienia, wykrzykiwały mu ich imiona.

— Bron! Clev! Mannt! Aesur!

Zebrane gazy rozkładu cielesnych płynów unosiły ich w górę, tak że dryfowali ponad płytami podłogi. Każdy z nich był przymocowany łańcuchem, jak Geil.

Geil wyszeptał:

— Zawarliśmy zgodę z ludźmi z Falgi.

Starke odsunął się do tyłu.

— Falgi!

— W śmierci wszyscy ludzie są równi. — Powiedział to powoli. W ogóle się nie śpieszył. Martwe ciała pod powierzchnią morza nigdy się nie śpieszyły. Unosiły się, poddając się wodzie i czekały na swój czas. — Martwi służą tym, którzy nadają im pozory życia. Jutro pomaszerujemy przeciwko Crom Dhu.

— Jesteś szalony! Crom Dhu jest twoim domem! Tam są Beudag, Faolan…

— I… — przerwało mu cicho wiszące ciało. — Conan, co? — Zaśmiało się. Z obwisłych ust wypłynęła mu krystaliczna strużka bąbelków. — Szczególnie, Conan. Conan, który potopił nas w Faldze…

Starke szybko ruszył do przodu. Nikt nie próbował go powstrzymać. W jednej chwili w jego ręku znalazła się krótka klinga broni trupa. Pierś Geila stała się dla niej zimną, milcząca pochwą. Ostrze weszło jak w masło.

Zimno, jakby tego nie zauważając, głos Geila mówił dalej:

— Możesz mnie dźgać i ciąć. Ale nie zdołasz mnie zabić, żebym stał się jeszcze bardziej martwy niż jestem. Możesz pociąć mnie na kawałki. Zabaw się w rzeźnika. Bok, ręka, serce! A kiedy będziesz się tym zajmował, wyjawię ci nasz plan.

Starke warcząc z wściekłości wyrwał ostrze z piersi Geila. Ze ślepą furią zaczął zadawać jego ciału jeden cios za drugim, klnąc rozpaczliwie jak szewc. Ciało przyjmowało kolejne uderzenia kołysząc się lekko w czerwonym nurcie i oznajmiło rzeczowym tonem:

— Wymaszerujemy z morza pod bramami Crom Dhu. Romna i inni, kiedy zobaczą nas z murów, otworzą szeroko bramy, żeby nas powitać. — Głowa Geila leniwie się przekrzywiła, wargi odwinęły się szeroko i złożyły leniwie, wypowiadając słowa: — Pomyśl o tej radości, Conanie! O chwili kiedy Bron, Mannt, Aesur, ja i ty sam, tak, nawet ty sam, Conanie, powrócimy do Crom Dhu!

Starke'owi stanął przed oczyma ten widok, niesamowicie wyraziście. Zobaczył go, jak jakiś utkany specjalnie dla niego gobelin. Cofnął się, z trudem łapiąc oddech, z falującymi nozdrzami, widząc co jego miecz uczynił ciału Geila, i jednocześnie widząc ogromne kamienne bramy Crom Dhu otwierające się z hukiem. Chwila namysłu. Szczęście, uniesienie Faolana i Romny, na widok powracających starych druhów. Starych Piratów, od tak dawna uważanych za martwych. Znowu żywych, przybywających na pomoc! To był naprawdę widok wart obejrzenia.

Z ogromnym spokojem, Starke zadał płaski cios.

Głowa Geila oddzielona od jego leniwie unoszącego się ciała, zaczęła powoli, jakby ze zmęczeniem, odpływać ku sufitowi. Płynąc w górę, to odwracała się twarzą w stronę Starke'a, to pokazywała mu tył czaszki, i kończyła swoją koszmarną przemowę.

— A kiedy już znajdziemy się za bramami, co wtedy, Conanie? Nie domyślasz się? Naprawdę nie domyślasz się, co wtedy zrobimy, Conanie?

Starke patrzył niewidzącym spojrzeniem, a miecz drżał mu w ręku. Gdzieś, jakby z oddali, słyszał głos Geila:

— …zabijemy Faolana w jego sali tronowej. Umrze z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Harfa Romny będzie leżała w jego wypatroszonym brzuchu. Jego serce swymi ostatnimi ruchami, zagra na jej strunach. A jeśli chodzi o Beudag…

Starke próbował odepchnąć od siebie napływające myśli, wściekły i bezradny. Ciało Geila nie było już czymś, na co można by było patrzeć. Zrobił wszystko, co tylko mógł. Twarz powlekła mu się bielą i zdarła z siebie wszystkie maski, aż do samej otchłani szaleństwa.

— Pozabijacie swoich bliskich i rodaków!

Odcięta głowa Geila wisiała pod sufitem, świecące ryby rozjaśniały jej upiorne rysy.

— Naszych rodaków? Ależ my nie mamy rodaków! Jesteśmy teraz inną rasą. Martwymi. Spełniamy rozkazy morskich pasterzy.

Starke popatrzył na salę, a potem rozejrzał się po okrągłych ścianach.

— No dobrze — oznajmił bezbarwnym głosem. — Wyjdźcie. Gdziekolwiek się kryjecie i używacie tej sztuczki z przenoszeniem głosu. Wyjdźcie i porozmawiajmy twarzą w twarz.

W odpowiedzi, cały fragment hebanowej kamiennej ściany, uchylił się bezgłośnie na jakimś ukrytym zawiasie. Starke zobaczył długi, smukły stół z czarnego marmuru. Na rzeźbionych ponurych tronach siedziało za nim sześciu ludzi.

Wszyscy byli mężczyznami. Byli nadzy, z wyjątkiem cieniutkich szat na biodrach. Spoglądali na Starke'a bez specjalnej nienawiści, czy ciekawości. Jeden z nich trzymał harfę. Był to pasterz, który sprowadził Starke'a przez bramę. Jego połączone błonami palce spoczywały z rozbawieniem na jej strunach, od czasu do czasu wydobywając czysty dźwięk z jednej z dwustu z nich.

Pasterz jednym akordem harfy powstrzymał szybki ruch Starke'a do przodu.

Ostrze w jego dłoni zrobiło się czerwone z gorąca. Rzucił je na ziemię.

Pasterz dodał zakończenie całej historii.

— A potem? A potem pomaszerujemy z martwymi wojownikami Rann do Falgi. Tam, ludzie Rann, widząc wojowników także się uradują, wpadną w prawdziwą histerię z radości, widząc że ich przyjaciele i krewni powrócili. Oni również otworzą na oścież mury obronne Falgi. I do środka wkroczy śmierć, pod płaszczykiem zmartwychwstania.

Starke skinął głową, powoli, pocierając dłonią policzek.

— Na Ziemi, nazywamy to psychologią. Niezłą psychologią. Ale czy Rann da się podejść?

— Rann będzie razem ze swymi statkami pod Crom Dhu. Podczas jej nieobecności, niewinni ludzie z radością przyjmą swych zaginionych wojowników. — Zielone oczy pasterza były rozbawione. Wyglądał jak młody człowiek, w wieku jakichś siedemnastu lat. Zwodniczo młody. Jeśli Starke dobrze to oceniał, jego młodość była bliższa dwustuletniej starości. Tak się żyje i wygląda, kiedy się mieszka pod powierzchnią Czerwonego Morza.

Starke przymknął w zamyśleniu swe żółte jastrzębie oczy.

— Macie wszystkie asy w ręku. Wygracie. Ale na co wam Crom Dhu? Dlaczego nie zajmiecie się tylko Rann? Ona jest jedną z was; nienawidzicie jej bardziej, niż Piratów. Jej przodkowie przenieśli się na ląd; nigdy ich za to nie przestaliście nienawidzić…

Pasterz wzruszył ramionami.

— W stosunku do Crom Dhu nie czujemy tak naprawdę wielkiej nienawiści. Poza tym, że oni są z natury stworzeniami lądowymi, nawet jeśli spędzają życie na pirackich rejsach na łodziach. No i są rabusiami. Pewnego dnia mogą spróbować szczęścia, próbując zdobyć zatopione skarby tego miasta.

Starke rozłożył ręce.

— My też walczymy z Rann. Nie zapominajcie, że jesteśmy po waszej stronie!

— A my jesteśmy po niczyjej — odparł zielonowłosy młodzieniec. — Tylko po naszej własnej. Witamy w armii, która zaatakuje Crom Dhu.

— Ja! Na bogów, po moim trupie!

— I tak — zauważył z rozbawieniem młodzieniec — właśnie zamierzamy to zrobić. Widzisz, pracowaliśmy latami, żeby dopracować ten plan. Ze strony lądu nigdy nie spotkało nas zbyt wiele dobrego. Potrzebowaliśmy ciał, które będą mogły dla nas wykonać całą robotę. Tak więc, za każdym razem kiedy Faolan stracił jakiś statek, albo Rann straciła statek, byliśmy tutaj z naszymi złotymi psami, czekaliśmy. Zbieraliśmy. Gromadziliśmy. Czekaliśmy dopóki nie będziemy mieli dostatecznie wielu wojowników każdej strony. Oni załatwią dla nas sprawę walki. Och, nie na długo, oczywiście. Energia Źródła nada im pozory życia, chwilową elektryczną zdolność do chodzenia i walki, ale kiedy już wyjdą z wody, wytrzymają najwyżej pół godziny. Jednak ten czas powinien wystarczyć, kiedy bramy Crom Dhu i Falgi, staną już otworem.

— **R**ann znajdzie jakiś sposób żeby was wykiwać. Dopadnijcie ją jako pierwszą. Zaatakujecie Crom Dhu następnego dnia.

Młodzieniec zastanowił się nad jego propozycją.

— Coś kręcisz. Ale jest w tym jakiś sens. Rann jest najważniejsza. A więc, zdobędziemy Falgę jako pierwszą. Będziesz miał trochę czasu, żeby połudzić się fałszywymi nadziejami.

Starke znowu zaczął czuć mdłości. Pomieszczenie zdawało się pływać.

Bardzo spokojnie, bardzo łatwo, Rann ponownie weszła w jego umysł. Poczuł jak wślizguje się w niego, jak najlżejsze muśnięcie morskiej paproci, kołyszącej się na falach przypływu.

Zatrzasnął swój umysł, ale udało się jej wcześniej pochwycić strzępek myśli. W jej akwamarynowych oczach odbijało się pragnienie i pytanie.

— Hughu Starke, jesteś u morskich ludzi?

Głos miała miękki jak aksamit. Pokręcił przecząco głową.

— Powiedz mi, Hughu Starke. Co wy tam knujecie przeciwko Faldze?

Nic nie odpowiedział. Nic nie myślał. Zamknął oczy.

Jej paznokcie błysnęły, zatapiając się w jego umyśle.

— Powiedz mi!

Jego myśli zacisnęły się mocno w mocną jak stal sferę, której nic nie było w stanie skruszyć.

Rann roześmiała się nieprzyjemnie, i nachyliła się do przodu, wypełniając swym błyszczącym ciałem każdy ciemny zakątek jego głowy.

— No dobrze. To ja dałam ci ciało Conana. Teraz ci je zabiorę.

Uderzyła go połączonym ciosem swych oczu, wykrzywionymi wargami, ostrymi kościstymi zębami.

— Wracaj do swojego starego ciała, wracaj do swojego starego ciała, Hughu Starke — wysyczała. — Wracaj! Zostaw Conana na pastwę jego kretynizmowi! Wracaj do swojego starego ciała!

Opanował go strach. Upadł na twarz, trzęsąc się i drżąc. Można walczyć mieczem z człowiekiem. Ale jak walczyć z tym czymś w mózgu? Zaczął wciągać ustami rozszlochane oddechy. Krzyczał. Nie słyszał jednak

sam siebie. Jej głos wdzierał się w niego z zewnętrznego mrocznego, czerwonego wszechświata, niszcząc jego „ja”.

— Hughu Starke! Wracaj do swego starego ciała!

Ale jego stare ciało było – martwe!

A ona odsyłała go do niego!

Część jego wystrzeliła w górę poprzez czerwoną mgłę.

Leżał na górskim płaskowyżu, rozciągającym się ponad portem Falgi.

Czerwona mgła okręcała się wokół niego i owijała go jak wąż. Ogniste ptaki nurkowały upiornie w jego patrzące ale ślepe oczy.

Jego stare ciało przyjęło go.

Nozdrza wypełnił mu odór zgnilizny. Mięśnie zwisały i prześlizgiwały się oleiście w rozluźnionym ciele. Ponownie czuł się mały i brzydki. Ogniste ptaki szarpały mu ciało, wydłubywały je, grzebały między żebrami. Ból był wszechobecny. Przepełniały go zimno, czerń, nicość. Z powrotem w swoim starym ciele. Na zawsze.

Nie chciał tego.

Płaskowyż, czerwona mgła, zniknęły. Ogniste ptaki również.

Leżał ponownie na podłodze, u morskich pasterzy, usiłując się podnieść.

— To był tylko początek — oznajmiła mu Rann. — Następnym razem zostawię cię, tam na płaskowyżu, w tamtym ciele. A teraz, czy opowiesz mi o planach ludzi morza? I dalej będziesz pędził szczęśliwe życie w ciele Conana? Będzie twoje, jeśli mi wszystko powiesz. — Uśmiechnęła się krzywo. — Nie chcesz przecież być martwy.

Starke próbował wszystko to sobie przemyśleć. Każda droga, jaką przed sobą widział, była zła. Chrząknął, by złapać oddech.

— Jeśli powiem, i tak zabijesz Beudag.

— Jej życie, w zamian za to co wiesz, Hughu Starke.

Odpowiedź Rann była za szybka. Wręcz cuchnęła zdradą. Starke nie uwierzył jej. Mógł przecież umrzeć. To by rozwiązywało problem. Wtedy, przynajmniej Rann także umrze, kiedy ludzie morza wprowadzą w życie swoje plany. Chociaż taka zemsta, przynajmniej, niech to diabli.

Wtedy wpadł na pomysł.

Zakaszlał ze śmiechem, unosząc swoją słabą głowę, aby popatrzeć na zaskoczonego morskiego pasterza. Jego krótka rozmówka z Rann, trwała w rzeczywistości może jakieś dziesięć sekund, ale wydawała mu się wiecznością. Morski pasterz zrobił krok do przodu.

Starke próbował wstać z podłogi.

— Mam… mam dla ciebie pewną propozycję. Ty, z harfą. Rann jest we mnie. A teraz. Jeżeli nie zagwarantujesz bezpieczeństwa Crom Dhu i Beudag, opowiem jej o pewnych rzeczach, o których chętnie pewnie by się dowiedziała!

Morski pasterz wyciągnął nóż.

Starke pokręcił głową, zimno.

— Odłóż go. Nawet jeśli mnie dopadniesz, wydam ten wasz cały cholerny plan Rann.

Pasterz opuścił rękę. Nie był głupcem.

Rann szarpała mózg Starke’a.

— Opowiedz mi! Opowiedz mi o ich planie!

Poczuł się jak facet w obrotowych drzwiach. Starke skupił się na człowieku morza. Widział, że tamten teraz się boi, zrobił się pełen wątpliwości i nerwowy.

— Za chwilę będę martwy — powiedział Starke. — Obiecaj mi bezpieczeństwo Crom Dhu, i umrę nie mówiąc Rann ani słowa.

Morski pasterz zawahał się, a potem uniósł do góry dłoń.

— Obiecuję — powiedział. — Crom Dhu pozostanie nietknięte.

Starke westchnął. Pozwolił aby głowa opadła mu do przodu, aż uderzyła w podłogę. Potem przetoczył się na wznak i zakrył dłońmi oczy.

— Umowa stoi. Idźcie i urządźcie Rann prawdziwe piekło, dobrze, chłopcy? Dajcie jej popalić!

Kiedy podryfował w ciemności umysłu, Rann już tam na niego czekała. Słabym głosem oznajmił jej:

— No dobrze, księżniczko. Zabijesz mnie nawet jeżeli powiem ci, o co tutaj chodzi. Jestem gotów. Spróbuj tych twoich paskudnych sposobów, żeby wepchnąć mnie z powrotem w to moje śmierdzące ciało. Będę z tobą walczył przez całą drogę do niego!

Rann wrzasnęła. Był to dosyć mocno sfrustrowany wrzask. Potem rozpoczął się ból. W ciągu następnej minuty wykonała sporą pracę nad jego umysłem.

Ta część niego, która była Conanem, trzymała się jak ślimak wczepiony w swoją cenną muszlę.

Powrócił odór gnijącego ciała. Powróciła krwawa mgła. Ogniste ptaki spadły na niego w spiralach iskier i parzącego dymu, aby grzebać w jego nagich żebrach.

Starke wypowiedział ostatnie słowo, zanim ogarnęła go ciemność.

— Beudag.

Nie spodziewał się, że jeszcze się obudzi z powrotem.

Obudził się, zupełnie niezmieniony.

Wokół niego było czerwone morze. Leżał na czymś w rodzaju kamiennego łoża, a młody morski pasterz siedział koło niego, spoglądając na niego i delikatnie uśmiechając.

Przez chwilę Starke nie ośmielił się ruszyć. Obawiał się, że głowa może mu odpaść i odpłynąć jak wielka ryba, używając uszu jako płetw napędowych.

— Boże — wymamrotał, ledwie obracając głowę.

Morskie stworzenie poruszyło się.

— Zwyciężyłeś. Walczyłeś z Rann i zwyciężyłeś.

Starke jęknął.

— Czuję się, coś co właśnie przeleciało przez wnętrzności żbika. Zniknęła. Ran zniknęła. — Roześmiał się. — Strasznie z tego powodu mi smutno. Niech mnie ktoś pocieszy. Rann zniknęła. — Poczuł swoje wielkie ciało o twardych mięśniach. — Ona blefowała. Próbowała doprowadzić mnie do szaleństwa. Wiedziała, że nie może mnie naprawdę przenieść z

powrotem w tego trupa, ale nie chciała abym się tego dowiedział. To było jak koszmar dziecka przed narodzeniem. A może ty nie masz takich wspomnień jak ja. — Przetoczył się, przeciągając. — Nigdy już nie dostanie się do mojej głowy. Zatrzasnąłem wrota i zakopałem klucz. — Oczy rozszerzyły mu się. — Jak ty się nazywasz?

— Linnl — odparł człowiek z harfą. — Nie powiedziałeś Rann o naszych planach?

— A jak myślisz?

Linnl uśmiechnął się szczerze.

— Myślę, że cię polubiłem, człowieku z Crom Dhu. I myślę, że lubię twoją nienawiść do Rann. Myślę, że podoba mi się, jak sobie poradziłeś z całą tą sprawą, jak chciałeś zabić Rann i ocalić Crom Dhu, i gotów byłeś nawet oddać życie aby osiągnąć obydwa te cele.

— Strasznie dużo tego myślenia. Taaa, a co z obietnicą, jaką mi dałeś?

— Zostanie dotrzymana.

Starke podał mu dłoń.

— Linnl, jesteś w porządku. Jeśli kiedykolwiek jeszcze wrócę na Ziemię, nigdy już nie założę przynęty na haczyk i nie zanurzę go w morzu.

Kontekst tego żartu umknął Linnlowi. Starke dał sobie spokój z tłumaczeniem, i dalej się śmiał. Był w tym jakiś cień lekkiej histerii. Ulga. Człowiek był przeganiany przez parę dni z kąta w kąt, ludzie włazili mu i wyłazili z umysłu, tak jakby to był sklep z wyprzedażą, wydeptując mu włókna nerwowe i zwoje mózgowe, wrzeszcząc i walcząc; zaś kobieta którą kocha głodowała na szczycie masztu statku; i w końcu, jakby tego wszystkiego było mało, dama o zielonych oczach próbowała wtłoczyć go do zniszczonego w wypadku ciała. A teraz, w końcu, zdobył sojusznika.

A on ciągle nie mógł w to uwierzyć.

Śmiał się krótkimi zrywami, z zamkniętymi oczyma.

— Pozwolisz mi zająć się Rann, kiedy nadejdzie na to czas?

Jego dłonie powędrowały po omacku w górę, zamykając się na jej wyobrażonej postaci, zaciskając się, dusząc.

Linnl odparł.

— Jest twoja. Lubię przyjemności, ale ty masz równie dobre, albo może nawet lepsze powody do zemsty, niż ja. Chodź ze mną. Zaraz wyruszamy. Przespałeś cały jeden dzień.

Starke ostrożnie udał się za nim. Nie chciałby żeby wyłamała mu się noga. Czuł się, jakby miał się rozlecieć na kawałki, gdyby tylko ktoś dotknął go palcem.

Pozwolił aby wzięła go w objęcia fala, wykonując całą pracę. Płynął ostrożnie za Linnlem, trzema korytarzami, w których mijali ich sporadycznie srebrzyści mieszkańcy miasta.

W ogromnej kwadratowej sali dryfowali pod nimi wojownicy z Falgi, każdy szarpiący się w górę, ale uwięziony przez kajdany na nogach. Wszyscy patrzyli, bladymi zimnymi oczyma, na Starke'a i Linnla. Od czasu do czasu rozbłyski świecących ryb z otworów w ścianach rzucały na wojowników jasne, ulotne odblaski. Jedna ze świecących ryb podpłynęła na chwilę do długiego, lśniącego sznura, którego węzły zaciskały się wokół

martwych twarzy i szybko go rozwiązała. Potem świecąca ryba, odpłynęła pulsując światłem, i w sali zapanował czerwony kolor morza.

Jak skąpani w winie, pomyślał Starke, bez cienia wesołości. Nachylił się do przodu.

— Ludzie z Falgi!

Linnl szarpnął za kilka strun swej harfy.

— Tak.

Z tysiąca martwych ust dobyło się złudzenie głębokiego głosu.

— Wyruszamy by załatwić cytadelę Rann!

— Rann! — zahuczał stłumiony grzmot głosów.

Na dźwięk kolejnej melodii, pojawiły się złote psy. Dotknęły łańcuchów. Ludzie z Falgi, uwolnieni, zatańczyli w substancji czerwonego morza.

Wyssani przez wąskie wyjście, przepłynęli na wielki wulkaniczny dziedziniec. Starke znalazł się tam zaraz za nimi. Popatrzył z góry na czarny wąwóz, na dnie którego znajdowała się płonąca kaldera.

To było Źródło Życia Czerwonego Morza. Tutaj wszystko zaczęło się tysiąc lat temu. Tutaj buchnęły w górę szaleńcze cyklony iskier i ognistej energii, wstrząsając tytanicznymi ścianami czarnego ogrodu, wywołując prądy i wiry, grożące porwaniem człowieka i gwałtownym wyrzuceniem do góry, aż na powierzchnię morza, w lejach energii, kapilarach płonącej mgły, w wodospadach ognia, który groził mu spaleniem, ale tylko wypełniał go radością i dawał mu szalone odrodzenie!

Zaparł się nogami i walczył ze ssaniem. Niewiarygodna macka ognia wystrzeliła z wąwozu, z trzaskiem i rykiem.

Ludzie z Falgi nie walczyli z tym przyciąganiem.

Przesuwali się do przodu w zupełnym milczeniu zawiśli ponad żarem.

Witalność Źródła wzbierała w nich coraz bardziej. Wydawało się, że dotyka ono sandałów ich stóp, a potem w procesie świetlistej osmozy, wspina się po nogach, biodrach, wlewa w ich wnętrzności, zarysowując strukturę ich mocnych kości, tak jak rtęć zarysowuje szkło termometru wraz ze wzrostem temperatury. Kości zabłysły jak rzeźbiona, polerowana kość słoniowa, poprzez ciało, przez chwilę przejrzyste jak błona. Żebra tysiąca ludzi rozszerzyły się jak srebrzyste pajęcze nogi, ściągnęły i rozszerzyły ponownie. Ich kręgosłupy wyprostowały się, ramiona z powrotem wyrównały. Ich oczy, które jako ostatnie przyjęły ogień, teraz były rozpłomienione, jak świece w odnowionym grobowcu. Podbródki uniosły się, a cała skóra na zewnątrz ich ciał, pokryła się srebrną poświatą.

Przepływali przez burzę energii, jak stwory rodem z koszmaru, wkraczali w niego zimni, docierali na przeciwległą krawędź wąwozu przypominając przetopiony metal prosto z pieców hutniczych. Kiedy ocierali się jeden o drugiego, skwierczały purpurowe iskry, przeskakiwały między nimi, od głowy do głowy, od ręki do ręki.

Linnl dotknął ramienia Starke’a.

— Ty będziesz następny.

— Nie, dziękuję bardzo.

— Boisz się? — roześmiał się pasterz z harfą. — Jesteś zmęczony. To da ci nowe życie. Ty będziesz następny.

Starke wahał się tylko przez chwilę. Potem pozwolił, aby fala poniosła go szybko do przodu. Bał się. Bał się diabelnie. Struga ognia złapała go, kiedy dotarł nad środek wąwozu. Został otulony w warstwy ekstazy. Tuliła się do niego Beudag. To jej zachłanne włosy otoczyły go kurtyną i dawały mu nową moc. To jej ciepło pełzło wzdłuż jego ciała, wypełniało mu klatkę piersiową i wlewało mu się do głowy. Ktoś wrzasnął w dzikim, zwierzęcym zachwycie i niemożliwej do zniesienia pasji. Ktoś zatańczył, wyrzucił na boki ramiona, wtłaczał w siebie coraz więcej tego słonecznego ciepła, coraz głębiej w swoje ogromne ciało. Coś zdjęło z tego człowieka całe zmęczenie, starość odpłynęła od niego, a całą jego istotę wypełniło nowe poczucie ciepła i siły.

Tym kimś był Starke.

Po drugiej stronie wąwozu, czekało tysiąc ludzi z Falgi. Rozległa się muzyka, brzmiąca jakby w jednej chwili zaczęło grać tysiąc harf. A kiedy tylko Starke dotarł na drugą stronę, harfy zagrały marsza, a wojownicy zaczęli maszerować w jego rytm. Ciągle byli martwi, ale nikt nigdy by tego nie dostrzegł. We wnętrzu tych ciał nie było umysłów. Ciała były aktywowane z zewnątrz. Ale nikt nigdy by tego nie dostrzegł.

Zostawili miasto już za sobą. W równych szeregach żołnierze-wojownicy prowadzeni byli przez złote psy i odległe głosy harf, do miejsca w którym od brzegu do brzegu przepływał ogromny prąd.

Wykorzystali ten prąd do darmowej podróży. Linnl płynął obok niego, używając swej harfy. Starke nagle poczuł, że przepływa przez głębiny, w których czaiły się dziwne potwory. Spoglądały na niego pełnymi głodu oczyma. Ale ściana dźwięków harfy, odrzucała je do tyłu.

Starke popatrzył na ludzi. Oni nie wiedzą co robią, pomyślał. Zmierzają do domu, żeby pozabijać swoich rodziców, swoje dzieci, żeby spustoszyć ogniem Falgę, a w ogóle z tego nie zdają sobie sprawy. Ich żywe-lecz-martwe twarze kierowały się do góry, przez cały czas, jakby widoczne tam były jakieś wizje cytadeli Rann.

Rann. Starke pozwolił, aby zawrzał w nim gniew. Po chwili pozwolił mu ochłodnąć. Potem już nad nim panował. Rann nie zawracała mu głowy już od kilku godzin. Czy była jakaś możliwość, że odczytała jego myśli pośród tej koszmarnej walki? Czy poznała ich plany względem Falgi? Czy to było wytłumaczenie jej obecnego milczenia?

Wysłał swój umysł przodem, subtelnie. Rann, Rann. Jedyną odpowiedzią był ruch srebrzystych ciał, poprzez ogniste głębiny.

Tuż przed świtem wynurzyli się ponad powierzchnie morza.

Falga drzemała w zabarwioną czerwoną mgłą ciszy. Ulice niewolniczego miasta były puste i pokryte rosą. Wysoko w górze, pierwsze blaski światła kąpały ogrody Rann i rozświetlały jej cytadelę.

Linnl leżał w płytkiej wodzie obok Starke'a. Obaj uśmiechali się lekko, na wpół okrutnymi uśmiechami. Długo czekali na tę chwilę.

Linnl skinął głową.

— To dla nas dzień radości. Wracający żołnierze Rann zostaną przyjęci owocami, winem oraz miłością. Na ulicach będą tańce.

Daleko po prawej ręce, wznosił się grzbiet góry. Na jego spłaszczonym wierzchołku – Starke przyglądał mu się uważnie – spoczywało ciało małego, szczupłego Ziemianina, z zebranymi wokół niego ognistymi ptakami. Później będzie mógł wspiąć się na tę górę. Kiedy wszystko się skończy i będzie miał na to czas.

— Czego poszukujesz? — zapytał Linnl.

Głos Starke'a zabrzmiał nieobecnie.

— Czegoś, co kiedyś dobrze znałem.

Wypełniając kamienne nabrzeża, w zniszczonych przez czas skrzypiących sandałach, mężczyźni stali prosto i równo. Czekali na to przez długi czas. Starke krążył niecierpliwie, zamknięty między nimi jak zwierzę w klatce, tak by jego ciemne ciało mogło pozostać niezauważone.

Dostrzeżono ich.

Strażnicy na szczycie skalnej ściany spojrzeli w dół ze swoich galerii dla łuczników, ponad brudnymi kwaterami dla niewolników, i zaczęli wydawać okrzyki. Zamachały ręce, poznaczone lodowatą bielą w świetle świtu. Kolejni strażnicy schodzili po rampach i galeriami, dołączając do tamtych, zbierając się w coraz większej liczbie.

Linnl, czekający w morzu koło nabrzeża, zasugerował temat na harfie. Inne harfy natychmiast go podjęły. Rozedrgana muzyka uniosła się z wody z łagodną stanowczością, wprawiając martwe stopy w marsz wzdłuż nabrzeży, a następnie w górę, wąskimi cuchnącymi alejami niewolników, na spotkanie strażnikom.

Niewolnicy zerkali na nich ze zmęczeniem, ze swych dusznych kwater. Przemarsz wojowników, nie był dla nich niczym nowym ani specjalnie ważnym.

Ci wojownicy nie mieli ze sobą żadnej broni. Starke'owi ta część planu niezbyt się podobała. Choćby nawet kawałek łańcucha, domagał się. Ale nie te puste dłonie. Zęby bolały go od zbyt długiego, mocnego zaciskania szczęk. Mięśnie ramion były rozgorączkowane i dygotały z nerwów.

Na skraju obszaru dla niewolników, u podstawy skalnej ściany, napotkali ich strażnicy. Zbiegając z galerii, z obnażonymi mieczami, ruszyli, by przeciąć drogę, tym, których uważali za nieprzyjaciół.

Strażnicy zatrzymali się w kompletnym zmieszaniu.

Z ust Starke'a wyrwał się cichutki śmiech. To było jak sen. W dodatku ta mgła nad nimi, pod nimi i częściowo pomiędzy nimi. Dla strażników było to coś nierzeczywistego, coś w co nie mogli uwierzyć. Nie było to rzeczywiste również dla tych martwych ludzi, którzy szli wokół niego. Poczuł się samotnie. Jakby był tutaj jedyną żywą osobą. Nie podobał mu się ten marsz pomiędzy martwymi ludźmi.

Przybył ostrożnie kapitan straży, w jego zielonych oczach widać było podejrzliwość. Podejrzliwość rozwiała się. Twarz mu obwisła. Już od

miesięcy leżał nocami na swym futrzanym posłaniu, myśląc o synu, który zginął w obronie Falgi.

A teraz jego syn stał przed nim. Żywy.

Kapitan zapomniał, że jest kapitanem. Zapomniał o wszystkim. Jego sandały zaszurały na kamieniach. Można było dosłyszeć powietrze wylatujące mu z płuc i wracające do nich w otępiałej modlitwie.

— Mój syn! W imię Rann. Powiedzieli, że zostałeś zabity przez ludzi Faolana setki ciemnych dni temu. Mój syn!

Gdzieś zadźwięczała harfa.

Syn wystąpił naprzód, uśmiechając się.

Wzięli się w ramiona. Syn nic nie powiedział. Nie mógł mówić.

To był sygnał dla innych. Wszyscy strażnicy, zaskoczeni i wstrząśnięci, odrzucali swe miecze i szukali starych przyjaciół, braci, ojców, wujów oraz synów!

Wyruszyli w górę galeriami, strażnicy i powracający wojownicy, pośród nich również i Starke. Idąc na szczyt klifu, korytarzem za korytarzem, wszyscy mówili, jeden przez drugiego. Albo przynajmniej tak im się wydawało. To strażnicy mówili. Żaden z wojowników nie odpowiedział im ani słowem. Tylko wydawało się, że to robią. Starke wszędzie słyszał muzykę, mocną i czystą.

Dotarli do zielonych ogrodów na szczycie skalnej ściany. Do tego czasu, obudziło się już całe miasto. Kobiety nadbiegały, z gołymi piersiami, szlochając i rzucając się naprzód, w szeregi swych ukochanych. Sypał się na nich deszcz kwiatów.

— A więc, tak wygląda wojna — mamrotał niespokojnie pod nosem Starke.

Zatrzymali się pośrodku wielkich ogrodów. Tłum kłębił się uszczęśliwiony, nieświadom jeszcze dziwnego milczenia swoich bliskich. Byli za bardzo szczęśliwi, żeby to zauważyć.

— Teraz! — krzyknął Starke do siebie. — Nadszedł czas. Teraz!

Jakby w odpowiedzi, z nieba doleciał dziki pisk harf.

Tłum przestał się śmiać dopiero wtedy, gdy powracający wojownicy z Falgi ruszyli do przodu, z wyciągniętymi i uniesionymi rękoma…

Płacz na ulicach brzmiał jak łkanie syren z oddali. Metal szczękał o metal z głośnym brzękiem, który cichł dopiero w chwili gdy znajdował sobie ciało w które mógłby się zagłębić. W zielonej wilgoci ogrodów miała miejsce złowroga pantomima.

Starke obserwował wszystko spod pustej cytadeli Rann. Smugi mgły snuły się między arkadami i padał gęsty deszcz. Wyglądał jak ściana krwi i zalewał ogrody w dole, aż w końcu nie można było odróżnić deszczu od krwi.

Do tego czasu powracający wojownicy zdobyli już sobie miecze. Najpierw zabili tych, którzy świętowali w ich pobliżu. Potem zabrali swoim ofiarom broń. Było to bardzo proste i bardzo nieprzyjemne.

Teraz do bitwy przyłączyli się również niewolnicy. Wyroili się z miasta niewolników, podnieśli porzucone sztylety i krótkie miecze, a potem okrążyli ogrody, czając się na aroganckich, błyszczących wojowników

Rann, którym udało się uciec przed cichymi, niosącymi śmierć mieczami żywych-lecz-martwych ludzi.

Martwy ojciec zabijał zaskoczonego żyjącego syna. Martwy brat dusił garotą nie wierzącego w to co się dzieje brata. Rzeczywiście Falga miała swój dzień radości.

Starzec czekał samotnie. Starke widział go. Starzec miał broń, ale nie chciał jej używać. Młody wojownik z Falgi, kierowany przez harfę Linnla, podszedł w milczeniu do starca. Starzec wykrzyknął. Z ust wyrwały mu się słowa: „Synu, co się dzieje!”. Odrzucił miecz na ziemię i stanął w błagalnej pozie przed swym chłopcem.

Syn pchnął go z cichą skutecznością i nie spoglądając nawet na leżące ciało, powędrował dalej, szukając kolejnej ofiary.

Starke odwrócił się, czując mdłości i oblany zimnym potem.

Tysiąc takich scen dobiegało swego końca.

Podpalił czarne, cienkie jak pajęczyna jedwabne gobeliny. Szemrały i trzaskały w płomieniach. Kamienne ściany odbijały echo jego kroków, kiedy przeszukiwał pomieszczenie za pomieszczeniem. Rann odpłynęła, prawdopodobnie ostatniej nocy. Oznaczało to, że Crom Dhu znajdowało się na skraju upadku. Czy Faolan nie żył? Czy ludzie z Crom Dhu, widząc cierpienia Beudag, poddali się? Port Falgi był kompletnie opustoszały ze statków, poza małymi rybackimi łodziami.

Kiedy wrócił do ogrodu, mgła czekała na niego. Deszcz odnalazł jego twarz.

Cytadela Rann stała w ogniu, a kiedy popatrzył na nią w górę, spowijał ją całun dymu.

W ogrodach zaległa cisza. Walka była skończona.

Ludzie z Falgi, ciągle lśniący Źródłem Życia, wypuszczali swe miecze z nic nierozumiejących palców, a światło zaczęło znikać z ich zielonych oczu. Ich skóra zaczynała wyglądać na brudną i ciemną.

Starke nie tracił więcej czasu, schodząc przez galerię, dzielnicę niewolniczą i nadbrzeża.

Linnl czekał na niego, łagodnie obejmując posłuszną harfę.

— To koniec. Niewolnicy przejmą pod swe władanie to co pozostało. Zostaną naszymi sojusznikami, ponieważ ich wyzwoliliśmy.

Starke nie słyszał go. Spoglądał zmrużonymi oczyma ponad Czerwonym Morzem.

Linnl zrozumiał go. Wydobył ze swej harfy dwa tony, które zmieniły się w dwa słowa w myślach Starke’a.

— Crom Dhu.

— Jeżeli nie jest już za późno. — Starke pochylił się do przodu. — Jeśli Faolan jeszcze żyje. Jeśli Beudag nadal trzyma się na szczycie masztu.

Jak ślepiec ruszył prosto przed siebie, aż w końcu zanurzył się w falach morza.

Tak naprawdę, do Crom Dhu nie było miliona mil. To tylko wydawało się tak daleko.

Fala prądu uniosła ich prosto spod brzegów Falgi, przerzuciła szybko przez głębiny rozciągające się wzdłuż brzegów, poprzez kryształowe lasy. Przeklinał każdą milę tej drogi.

Przeklinał czas, jaki zajęło zatrzymanie się w mieście morskiego tytana, w celu zabrania świeżych ludzi. Aby zabrać Cleva, Mannta, Aesura oraz Bronna. Z niecierpliwością, Starke przyglądał się po raz kolejny dramatycznej scenie ze Źródłem Życia oraz martwymi ciałami. Tym razem to ludzie z Crom Dhu, wisieli jak zwierzęta, na powoli obracających się rożnach, z kończynami i organami wewnętrznymi nasączającymi się coraz mocniej i mocniej, skórą nabierającą brązowego koloru oraz oczyma rzucającymi iskry jak krzemienie. A potem harfy utkały wokół każdego z nich ubiór, a ubranie to poruszało człowiekiem, zamiast człowiek ubraniem.

Kiedy znaleźli się w katedrze morskiego prądu, Starke przekręcił się. Za nim płynęły nowe ciała Cleva i Aesura! Prąd uniósł je i przeciągnął przez obsydianowe ucha igielne jak jedwabne pajęcze nici.

Była w tym naprawdę solidna dawka ironii. Ludzie z Crom Dhu, którzy padli pod Falgą na skutek zdrady Conana, powracali pod dowództwem Conana, aby odwrócić efekty tej zdrady.

Nagle, znajdowali się już w zewnętrznej niecce Crom Dhu. Ponad nimi przemykały cienie. Długie, ciemne cienie, długich łodzi z Falgi, stojących na kotwicowisku. Cienie wyglądające, jak czarne sieci-pułapki, zarzucane na dół. Grupa ludzi rozrywająca sieć cieni. Prąd znikał tutaj, zawirował i wyrzucił ich na miejsce.

Starke popatrzył z gniewem do góry, na ogromne srebrne dno falgiańskiego statku. Poczuł, że twarz mu sztywnieje, a gardło się zaciska. Potem, wyginając kolana wypchnął się do góry; nocne powietrze rozpostarło się ciemną czerwienią wokół jego głowy.

Na kotwicowisku na burtach długich statków, utrzymywano płonące pochodnie. Na skrawku ziemi, prowadzącym z Crom Dhu na stały ląd, słychać było odgłosy ciągłej walki. Słabe krzyki i szczęknięcia metalu przebijały się przez kotary mgieł. Brzmiały jak echa dawnych snów.

Linnl polecił, aby Starke otrzymał linę. Starke poczuł, że wciskają mu coś w dłoń. Zwój cienkich zielonych, utkanych trzcin, sznur na końcu z haczykowatymi ciężarkami. Wiedział jak go użyć, bez pytania. Żałował jednak, że nie ma teraz w ręku noża, nawet jeżeli zdawał sobie sprawę z tego, iż noszenie noża w morzu jest zupełnie niemożliwe, jeśli ktoś chciał się szybko w nim poruszać.

Zobaczył smukłą, nagą postać galionu najlepszego statku Rann, o sto metrów dalej, unoszący się zarys kadłuba i pochodnie rzucające płomienie jak włosy Beudag.

Popłynął w jego stronę, spokojnie oddychając. Kiedy w końcu srebrzysty galion z kpiącymi zielonymi oczyma i grzywą włosów w kolorze płytkiej wody, zawisł nad jego głową, poczuł, że zimny, biały metal statku, dotyka jego palców.

Roznosił się wokół niego zapach dymu z pochodni. Fala słabych krzyków od strony lądu mówiła, o kolejnym ataku na Bramę. Za jego plecami pojawiła się zmarszczka na wodzie. Potem – tysiąc zmarszczek.

Zmartwychwstali ludzie z Crom Dhu wyłonili się z wirów i fal musującego wina. Patrzyli na Crom Dhu, i być może wiedzieli co to jest, a może nie. Przez jedną chwilę, Starke poczuł obawę. Przypuśćmy, że Linnl zagrał z nim sobie. Przypuśćmy, że kiedy ci ludzie wygrają bitwę, wkroczą do Crom Dhu, aby strzaskać harfę Romny i uczynić Faolana jeszcze bardziej ślepym? Odrzucił od siebie tę myśl. Tym można będzie się zająć we właściwym czasie. Po obu jego bokach pojawili się Mannt i Clev. Patrzyli na Crom Dhu, z zaciśniętymi ustami. Może widzieli niezdobyte gniazdo Faolana i słyszeli harfę, znaczącą więcej niż te harfy śpiewające im aby chwytali za miecz i plądrowali – instrument Romny, snujący opowieści barda o morskich rabusiach i przybrzeżnych wojnach, za starych jaśniejszych czasów. Ich oczy patrzyły i patrzyły na Crom Dhu, ale niczego nie widziały.

Teraz pojawili się morscy pasterze, podwładni Linnla; każdy z nich miał harfę; i od razu rozpoczęła się muzyka harf, wysoka. Tak wysoka, że nie było jej słychać. Zasnuła ona powietrze napięciem.

W milczeniu, z ponurą pewnością, martwi-lecz-nie-martwi zebrali się w brązowym kręgu wokół statku Rann. Głucha cisza ich pierścienia wywoływała dreszcze na skórze i zimny pot na policzkach.

Na burty statku poleciał tuzin sznurów, plącząc się i skręcając. Złapały, zaczepiły się, zahaczyły.

Starke wyrzucił również swój, czując jak wbija się i trzyma. Po chwili szybko pokonał, przeklinając pod nosem, całą jego długość, przerzucił nogi i prześlizgnął się na srebrny kadłub.

Dotarł na wierzchołek.

Była tam Beudag.

Na wpół przewieszony przez niską poręcz, zawahał się, wpatrzony w jej postać.

Światło pochodni obrysowało jej sylwetkę, wydobywając ją z cienia. Nadal stała wyprostowana; jej głowa była zmęczona, a oczy zamknięte, twarz miała wychudłą i mniej brązową, ale ciągle żyła. Wydobywała się teraz z głębokiego stuporu, słysząc świst sznurów i grzechot metalowych haków na pokładzie.

Zobaczyła Starke'a i usta jej się rozchyliły. Nie spuszczała z niego oczu. Prawie stracił dech w piersiach, dusząc się.

To kosztowało go niemal życie, stanie bez ruchu i wpatrywanie się w nią.

Strażnik, o ciele jasnym jak świeży śnieg, wyciągnął z wieżyczki swój łuk i naciągnął cięciwę. Na pokładzie leżał kawał łańcucha. Starke z wdzięcznością złapał go w rękę.

Przez barierkę obok Starke'a przeszedł Clev. Jego pierś przyjęła strzałę. Wbiła się w nią do połowy, i pozostała w niej. Clev nadal szedł na człowieka, który ją wypuścił. Starke mimowolnie ruszył razem z nim.

Beudag krzyknęła:

— Conanie, za tobą!

Conan! W emocji nazwała go dawnym imieniem.

Przecież kiedyś był Conanem. Obracając się, stanął twarzą w twarz z żylastym niewielkim człowieczkiem, zdzielił go brutalnie łańcuchem w twarz, złapał miecz upadającego mężczyzny i użył go przeciwko niemu. Walnął go w szczękę, tak że jego przeciwnik stracił równowagę i wpadł przez barierkę do morza.

Do tego czasu statek już się obudził. Większość ze znajdujących się na nim ludzi, była pod pokładem, odpoczywając po walce. Teraz zaczęli wylewać się na górę, srebrzystą falą. Ich wrzask stanowił dziwny kontrast do kamiennego milczenia ludzi z Crom Dhu. Starke nagle zaczął mieć pełne ręce roboty.

Conan był zdrowy jak koń i miał ogromne zdolności regeneracyjne. Teraz, jego mięśnie reagowały na wszystko, o co je poprosił. Starke bez trudu przeskoczył przez pokład, szukając wzrokiem Rann, ale nigdzie nie mógł jej dostrzec. Odbił dwie klingi, pozbawiając przeciwnika jednej z nich. Nad głową przeleciały mu kolejne liny, spowijając go niemalże w swe zwoje jak węże. Na każdym ze statków wybuchła gwałtowna walka. Przez barierkę za jego plecami, wyroili się w ciszy kolejni ludzie.

Przez wrzawę przebił się głos Beudag, na widok walczących ludzi:

— Clev! Mannt! Aesur!

Starke był bogiem. Czegokolwiek zechciał, mógł to mieć. Głowa człowieka? Mógł ją zdobyć. Oznaczało to konieczność zgilotynowania go, przy pomocy noża, dłoni i wypadu ciała. Jak – tego! Jego oczy zmieniły się w przydymione bursztyny, a na ustach pojawiły mu się głębokie zmarszczki satysfakcji. Nieprzyjaciel nie mógł walczyć bez dłoni. Jeden z ludzi, stojący przed Starkem, nagle wystawił przed twarz krwawe kikuty, nie wierząc w to co się z nimi stało.

Czy widzisz to, Faolanie?, zawołał Starke w duchu, zadając kolejne ciosy. Popatrz tylko, Faolanie! Boże, nie, jesteś przecież ślepy. A więc posłuchaj! Słuchaj szczękania stali o stal. Czy zapach rozgrzanych ciał i gorącej krwi dotarł do ciebie? Och, gdybyś tylko mógł zobaczyć, to co się dzisiaj dzieje, Faolanie. Można już zapomnieć o Faldze. To jest Conan, wyrwany ze stanu debilizmu przez człowieka o nazwisku Starke, znajdującego się w nim i mówiącego mu co ma robić!

Na pokładzie nie było w tej chwili bezpiecznie. Starke wcześniej jakoś tego szczególnie nie zauważył, ale teraz wojownicy z Crom Dhu nie dbali już o to kogo atakują. Zaczęli dokonywać operacji chirurgicznych na sobie nawzajem. W natychmiastowym ślepym posłuszeństwie, odcinali sobie wzajemnie ręce, ranili nogi. Nie było to miejsce dla Beudag, ani dla niego.

Odciął ją od masztu i pociągnął szybko w stronę barierki.

Beudag się śmiała. Nie była w stanie zrobić nic innego, tylko się śmiać. W jej oczach widać było szok. Widziała martwych ludzi, którzy ożyli ponownie, wymachując bronią; była niemalże zagłodzona na śmierć i zmuszona do stania na szczycie masztu w dzień i w nocy, i teraz była w stanie tylko się śmiać.

Starke potrząsnął nią.

Nie przestawała się śmiać.

— Beudag! Wszystko już dobrze. Jesteś wolna.

Patrzyła niewidzącym wzrokiem.

— Ja… zaraz się opanuję. Za chwileczkę.

Musiał odbić cios jednego z własnych ludzi. Odparował pchnięcie, a potem uderzył go i zepchnął z pokładu, do morza. Była to jedyna rzecz, jaką można było zrobić. Nie potrafił przecież ich zabić.

Beudag wpatrywała się z góry w spadające ciało.

— Gdzie jest Rann? — żółte oczy Starke'a zwęziły się, szukając jej wzrokiem.

— Była tutaj — wzdrygnęła się Beudag.

Rann wyglądała z jej oczu. Ze znużonego otępienia Beudag, echo Rann. Rann była gdzieś w pobliżu, i to była jej robota.

Instynktownie Starke uniósł wzrok.

Rann pojawiła się na szczycie masztu, jak śnieżny wir. Jej zakończone zielonymi sutkami piersi unosiły się i opadały z emocji. Z oczu wylewała się czysta nienawiść. Starke oblizał usta i przygotował miecz.

Rann strzeliła spojrzeniem w stronę Beudag. Schylając się jak we śnie, Beudag podniosła sztylet i skierowała go we własną pierś.

Starke zamarł bez ruchu.

Rann skinęła głową, z satysfakcją.

— No więc co, Starke? Jak to rozegramy? Zaatakujesz mnie i zabijesz Beudag? Czy mnie wypuścisz?

Dłonie Starke'a zrobiły się mokre i śliskie.

— Nie ma już nigdzie dla ciebie miejsca. Falga została zdobyta. Nie mogę ci zagwarantować wolności. Jeżeli chcesz wyskoczyć za burtę, do morza, to twoja jedyna szansa. Może uda ci się dotrzeć do brzegu, do twoich ludzi.

— Mam pływać? Kiedy tam czekają te morskie bestie? — Zaakcentowała mocno słowo „bestie". Linnl i jego ludzie, byli dla niej morskimi bestiami. — Nie, Hughu Starke. Wezmę łódź. Połóż Beudag na barierce, tak bym mogła ją przez cały czas widzieć. Zagwarantuj mi drogę na brzeg, do moich ludzi, którzy tam są, a Beudag będzie żyć.

Starke machnął mieczem.

— Płyń sobie.

Nie miał zamiaru pozwolić jej odejść. Miał inne plany, niezłe plany w stosunku do niej. Wykrzyknął na dół do Linnla, informację o ugodzie. Linnl odpowiedział mu skinieniem głowy, z dużym oporem.

Rann, w małej srebrnej łódce, kierowała się w stronę lądu. Sterowała łodzią i przez cały czas wpatrywała się do tyłu, w Beudag. Przeszła przez pierścień morskich bestii i dotarła do brzegu. Uniosła rękę i machnęła nią ostro w dół.

Z półobrotu, Starke uderzył pięścią w szczękę Beudag. Jej ręka już wznosiła sztylet, aby wbić sobie jego ostrze w pierś. Głowa odskoczyła jej do tyłu. Uderzenie Starke'a doszło do celu. Dziewczyna upadła. Sztylet zaklekotał po pokładzie. Kopnięciem wyrzucił go za burtę. Potem podniósł Beudag. Była ciepła i nic jej nie było. Ostrze tylko zadrasnęło jej pierś. Spływał po niej niewielki strumyczek krwi.

Na brzegu, Rann zniknęła gdzieś w górze między skałami, śpiesząc się by znaleźć swych ludzi.

Na kotwicowisku, muzyka harf ucichła. Statki zostały zdobyte. Ich załogi leżały, zaścielając pokłady. Ludzie z Crom Dhu przerwali walkę równie szybko, jak ją rozpoczęli. Niektórzy z nich, jeszcze niedawno jasno świecący, pociemnieli na brązie swych rąk i nagich torsów. Statki zaczęły tonąć.

Linnl podpłynął w dole i popatrzył w górę, na Starke'a. Starke obejrzał się za siebie i skinął głową w stronę plaży.

— Świetnie. A teraz chodźmy i dopadnijmy tę diablicę — powiedział.

Faolan czekał na swym wielkim kamiennym balkonie, górującym nad Crom Dhu. Za jego plecami ogniska płonęły wysokim płomieniem i pożerający drewno ogień wypełniał wspartą na kolumnach salę hałasem i gwałtownym światłem.

Faolan oparł się o balustradę, z piersią owiniętą w bandaże i uzdrawiające maści. Jego ślepe oczy migotały patrząc nieustannie w dół, z najwyższą intensywnością. Przekrzywił głowę, aby lepiej słyszeć.

Obok niego stał Romna, opowiadając mu co się dzieje, i napełniając bez przerwy kubek, którego zawartość Faolan wlewał w spragnione gardło. Opowiedział mu o ludziach wylewających się z morza i Rann, która pojawiła się na skalistym brzegu. Czasami Faolan nachylał się, lekko, w stronę Romny, aby lepiej słyszeć jego słowa. Czasami przekręcał głowę, aby samemu słuchać co się dzieje, co się stało w oddali, poza Bramą oblężonego Crom Dhu.

Harfa Romny leżała nietknięta. Nie grał na niej. Nie potrzebował tego robić. Z dołu dolatywało potężne echo głosu harf, bardziej płynne niż jego, jak wodospad zalewające miasto, powodujące że mgła płakała czerwonymi łzami.

— Czy tą są harfy? — zawołał Faolan.

— Tak, harfy!

— Co to było? — Faolan nasłuchiwał, ciężko oddychając, trzymając się, aby się nie przewrócić.

— Potyczka — wyjaśnił Romna.

— Kto wygrał?

— My wygraliśmy.

— A to? — ślepe oczy Faolana tak mocno próbowały coś dojrzeć, że aż zaszły łzami.

— Wróg cofa się spod Bramy!

— A ten dźwięk, a ten dźwięk? — Faolan próbował bez przerwy coś dosłyszeć, gorączkowo, obracając głowę to w jedną stronę, to w drugą, a na jego twarzy widać było cierpienie i wytężoną uwagę, aby wyłapać każde zawirowanie, powiew i zmianę napływających odgłosów. Rytm szczękania mieczy we mgle i ludzkich krzyków, stanowił złożoną muzykę, której temat musiał rozpoznawać. — Kolejny padł! Słyszałem jak krzyknął. I to kolejny z ludzi Rann!

— Tak — potwierdził Romna.

— Ale dlaczego nasi wojownicy walczą tak cicho? Nie słyszałem nawet jednego krzyku z ich ust. Tak cicho.

Romna popatrzył spode łba.

— Cicho. Tak… cicho.

— I skąd oni się tam wzięli? Czy wszyscy nasi ludzie są w mieście?

— Tak jest. — Romna przesunął się. Zawahał się, mrużąc oczy. Podrapał się po swojej szczęce buldoga. — Oprócz tych, którzy zginęli w… Faldze.

Faolan przez chwilę stał nieruchomo. Potem zastukał swoim pustym kubkiem.

— Więcej wina, bardzie. Więcej wina.

Odwrócił się znowu w stronę bitwy.

— Och, bogowie, gdybym tylko mógł to zobaczyć, gdybym mógł to zobaczyć!

W dole donośny trzask. Cisza. Krzyki zmieniające się we wrzawę.

— Brama! — Faolana przeszył nagły strach. — Przegraliśmy! Mój miecz!

— Zostań, Faolanie! — roześmiał się Romna. Potem odetchnął. Było to westchnienie pełne niedowierzania. — W imię dziesięciu tysięcy potężnych bogów. Szkoda, że w tej chwili nie jestem ślepy, albo nie mogę tego lepiej zobaczyć!

Dłoń Faolana złapała go i przytrzymała.

— Co się dzieje? Mów!

— Clev! Tlan! I Conan! Bron! Mannt! Stoją w bramie jak zwidy po winie! Z mieczami w ręku!

Dłoń Faolana rozluźniła się, a potem znowu zacisnęła.

— Podawaj mi ich imiona, i wymieniaj je powoli. I mów prawdę. — Skóra mu zadrżała jak u nerwowego zwierzęcia. — Powiedziałeś… Clev? Mannt? Bron?

— I Tlan! I Conan! Wrócili z Falgi. Otworzyli Bramę i bitwa została wygrana! To koniec, Faolanie! Crom Dhu dzisiaj zaśnie spokojnie.

Faolan puścił go. Z jego ust wyrwał się szloch.

— Upiję się dzisiaj. Upiję się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Cudowne pijaństwo. Bogowie, gdybym tylko mógł to zobaczyć. Brać w tym udział. Opowiedz mi jeszcze raz o tym, Romna…

Faolan siedział w wielkiej sali, na swym rzeźbionym fotelu na podwyższeniu, i czekał.

Stąpnięcia sandałów na kamieniach na zewnątrz, brzęczenie łańcuchów.

Drzwi otworzyły się szeroko, wpuszczając do środka czerwoną mgłę, a z tej mgły wynurzyli się ludzie. Faolan zapytał gorączkowo.

— Clev? Mannt? Aesur?

Starke wyszedł do przodu, stając w świetle ognia. Przyciskał prawą dłonią otwartą ranę na udzie.

— Nie, Faolanie. To tylko ja i dwie inne osoby.

— Beudag?
— Tak. — Beudag podeszła do niego ze zmęczeniem.
Faolan wpatrywał się w nich.
— A kim jest ten drugi? Idzie lekko. To kobieta.
Starke potwierdził.
— Rann.
Faolan ostrożnie podniósł się z fotela na podwyższeniu. Myślał nad usłyszanym imieniem. Zszedł z podwyższenia. Ruszył w stronę Starke'a.
— Przyprowadziłeś do mnie żywą Rann?
Starke pociągnął za łańcuch, który pętał Rann. Podbiegła do przodu, drobniutkimi kroczkami. Jej biała głowa była opuszczona, a oczy zmieniły się w malutkie szczelinki, ziejące zwierzęcą furią.
— Faolan jest ślepy — powiedział Starke. — Pozostawiłem cię przy życiu, dla jednego, cholernie dobrego powodu, Rann. No dobrze, zaczynaj.
Faolan zatrzymał swój marsz, zaciekawiony. Czekał, co się wydarzy.
Rann nie zrobiła niczego.
Starke chwycił zielonowłosą za rękę i wykręcił ją za jej plecami.
— Powiedziałem „Zaczynaj". Może mnie nie dosłyszałaś.
— Zrobię to — sapnęła z bólu.
Starke puścił ją.
— Mów mi, co się dzieje, Faolanie.
Rann spoglądała nieustannie na wysoką postać Faolana, stojącą w blasku światła.
Faolan nagle podrzucił dłonie do oczu, i zakrztusił się.
Beudag krzyknęła, łapiąc go za ramię.
— Ja widzę! — Faolan zatoczył się, jakby ktoś go uderzył. — Ja widzę! — Poprzednio to wykrzyczał, a teraz wyszeptał: — Ja widzę!
Oczy Starke'a zamgliły się. Szepnął do Rann, z napięciem:
— Pozwól mu to zobaczyć, Rann, albo umrzesz tutaj. Pozwól mu to zobaczyć! — Do Faolana: — Co widzisz?
Faolan był oszołomiony, chwiał się na nogach. Odsunął dłonie od oczu, aby wizja nabrała kształtów.
— Widzę... widzę Crom Dhu. To wspaniałe! Widzę statki Rann. Tonące! — Roześmiał się urywanym śmiechem. — Widzę... bitwę pod bramą!
Cisza zalała pomieszczenie, zawisła nad ich głowami.
Słychać było tylko głos Faolana, mówiącego dalej, brzmiący hipnotyzująco w tej głuchej ciszy.
Wyciągnął swoje ogromne pięści, potrząsnął nimi, otworzył je.
— Widzę Mannta, i Aesura, i Cleva! Walczą jak walczyli zawsze. Widzę Conana, takiego jakim był kiedyś. Widzę Beudag, ponownie ze stalą w dłoni, na brzegu! Widzę, jak giną wrogowie! Widzę ludzi wylewających się z morza, ludzi o brązowej skórze i ciemnych włosach. Ludzi, których znałem długą ciemność temu. Ludzi, którzy wraz ze mną przemierzali morza. Widzę schwytanie Rann! — Mówiąc to zaczął szlochać, jego płuca wypełniały się i opadały, wciągały powietrze i je wypuszczały. Z pustych, lecz jasnych oczu Faolana, popłynęły łzy. — Widzę Crom Dhu, takie jakim było i takie jakim będzie! Widzę, widzę, widzę!
Starke poczuł chłód z tyłu szyi.

— Widzę schwytaną Rann w kajdanach i jej ludzi leżących wokół niej martwych, na ziemi pod Bramą. Widzę jak Brama staje otworem… Faolan przerwał. Popatrzył na Starke'a. — Gdzie są Clev i Mannt? Gdzie są Bron i Aesur?

Starke pozwolił by ogień w sercach płonął przez długą chwilę. Potem odparł:

— Wrócili do morza, Faolanie.

Palce Faolana opadły puste.

— Tak — powiedział ciężko. — Musieli wrócić, co? Nie mogli pozostać, tak? Nawet na jedną noc, z jedzeniem na stole, winem w ustach i kobietą na gęstych ciepłych futrach przed kominkiem? Nawet na jeden toast. — Odwrócił się. — Wino, Romna. Wino dla wszystkich.

Romna podał mu pełen kubek. Faolan upuścił go, padł na kolana, chwytając się dłońmi za pierś.

— Moje serce!

— Rann, ty morska diablico!

Starke natychmiast złapał ją za gardło. Ścisnął małe wściekle pulsujące tętnice na jej białej jak śnieg szyi. — Zostaw go w spokoju, Rann! — Ścisnął mocniej. — Zostaw go!

Faolan chrząknął. Starke trzymał ją, aż jej biała twarz zrobiła się popielata i dziwnie wykrzywiona śmiercią.

Wydawało się mu, że minęły godziny, zanim ją puścił. Upadła lekko na ziemię i nie ruszała się. Nie poruszyła się już nigdy więcej.

Starke odwrócił się powoli, aby popatrzeć na Faolana.

— Widziałeś, czy nie tak, Faolanie? — zapytał.

Faolan skinął głową, ślepo, słabo. Podniósł się z podłogi, macając rękoma.

— Widziałem. Przez chwilę, widziałem wszystko. I, bogowie! To był wspaniały widok! Ten widok, Hughu-Starke-Zwany-Conanem, da tej drugiej stronie mojego ja, coś na czym będę mógł się oprzeć.

Następnego dnia, Beudag i Starke wspięli się na górę wznoszącą się ponad Falgą. Starke wyszedł sam odrobinę do przodu, a na jego widok ogniste ptaki rozproszyły się na wszystkie strony, połyskując w oddali.

Wykopał płytki grób i zrobił ze znalezionym na górze ciałem to, co należało zrobić, a kiedy grób został przykryty grubymi, szarymi kamieniami, wrócił po Beudag. Stali nad nim razem. Nigdy się nie spodziewał, że będzie stał nad częścią samego siebie, ale był tutaj, a dłoń Beudag ściskała jego dłoń.

Stojąc tam, poczuł się nagle, jakby miał milion lat. Rozmyślał o Ziemi, Pasie, Jowiszu, radosnych ulicach Jekkara nad Dolnymi Kanałami Marsa. Rozmyślał o kosmosie i latających przez niego statkach, oraz o sobie samym w ich środku. Rozmyślał o milionie kredytów, które zdobył podczas tej ostatniej roboty. Roześmiał się ironicznie…

— Jutro, poproszę morskie stworzenia o rozejrzenie się za małym metalowym pudełkiem, pełnym kredytów. — Skinął poważnie głową w

stronę grobu. — On ich pragnął. A przynajmniej myślał, że pragnie. Zabił się, próbując je zdobyć. A więc, jeśli ludzie morza je odnajdą, przyślę je tutaj, na szczyt góry i pogrzebię pod kamieniami, w jego dłoniach. Myślę, że to najlepsze miejsce.

Beudag odciągnęła go stamtąd. Zeszli z góry, zmierzając w stronę portu w Faldze, w którym czekał na nich statek. Zbliżając się do celu, Starke uniósł głowę. Beudag była u jego boku, żagle statku podnosiły się już, by chwycić wiatr, a Czerwone Morze czekało nie nich, gotowe do podróży. Co leżało na jego drugim krańcu, Beudag, Faolan ze Statków, Romna i Hugh-Starke-Zwany-Conanem musieli dopiero odkryć. Czuł się z tym diabelnie dobrze. Szedł pewnym krokiem, przyciskając mocno Beudag do siebie.

A na szczycie góry, kiedy statek wyruszył w rejs, ogniste ptaki przypadły niespokojnie do ziemi, z rozczarowaniem uderzając w kopiec kamieni, aż w końcu zrezygnowały i żałośnie skrzecząc odleciały w dal.

KONIEC